odgłosy
TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. ŁÓDŹ, 5 listopada 1961 r.
Nr 44 (192) Cena 1 zł

Alina Jurewicz — aktorka Teatru „7.15"

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

NOTATKI LENIWEGO TURYSTY (II)

UBAW

Soho. Ta kawiarenka, ściany pomalowane na czarno, drżący blask świec, siedzi się przy trumnach. Nie takich jak u nas, angielskie trumny są prostsze, płaskie i pozbawione ozdób. Kelner z twarzą zmęczonego wyźla przynosi kawę i dziękuje chłodno, odbierając napiwek. Te uliczki, wąskie i zatłoczone. Te dziewczyny, dyskretnie zapraszające przechodnia, żeby zechciał obejrzeć pewną panią, która za chwilę będzie się rozbierać do naga. Te salony (a właściwie korytarze) gier automatycznych, gdzie chłopcy 16 czy 17-letni ze złym błyskiem w oczach szarpią za dźwignie i wybierają cele przed pudłami elektrycznych strzelnic. Turyści przemieszani z Murzynami i z tubylczą młodzieżą w jeansach, atmosfera nudy i dobrze spełnianego obowiązku. Gry automatyczne są zresztą dość zabawne, bo szarpiąc za dźwignię można wygrać trzy pensy albo przegrać sześć pensów, to już jest coś. Poza tym Soho jest przyzwoite i nudne, ta purytańska rozpusta pozbawiona jest elementu ryzyka, gry, elementu ubawu.

Elementu ubawu pozbawione było również to angielskie wesele, które widziałem, niestety, tylko w telewizji, w cyklu przypominającym cokolwiek naszych „Matysiaków". Goście weselni przy stole w płaszczach, pan młody zapraszał do picia i palenia, na stole stało kilka butelek wina i piwa, to wszystko. Nie był to, jak mnie potem poinformowano, wynik oszczędności, robiony przez telewizję, tak się to rzeczywiście tutaj odbywa. Choć jeszcze częściej pan młody i panna młoda zapraszają gości do pubu i po wypiciu wszyscy rozchodzą się do domów. Koniec ubawu.

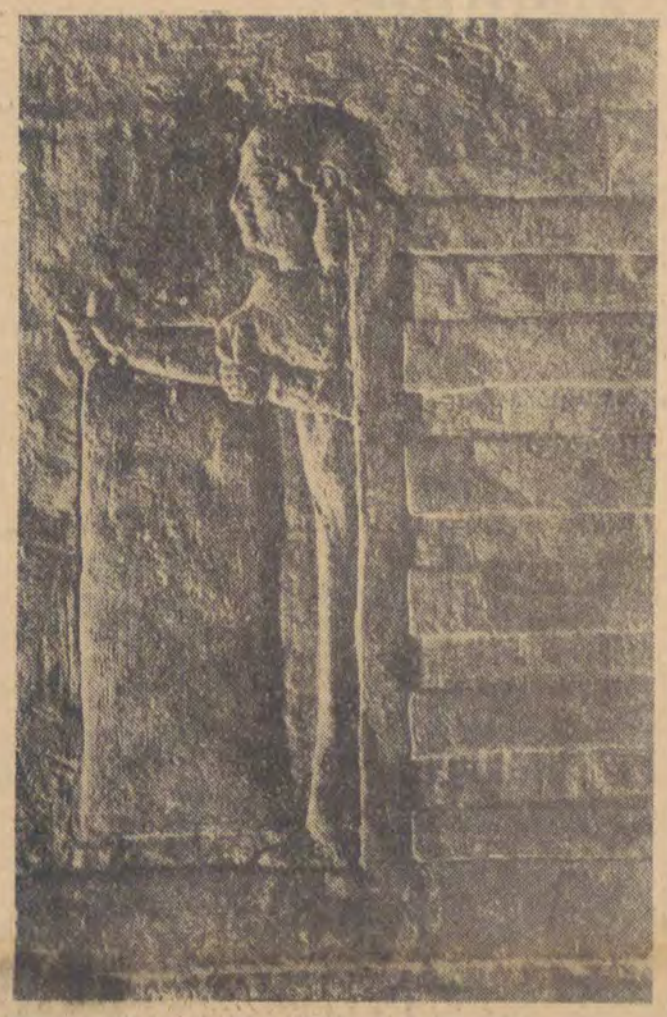

Płaskorzeźba asyryjska z British Museum, VII w. przed n. e.

GALERIA NA BOND STREET

Mała galeria na Bond Street. W pokoju nie większym niż ten, w którym tu mieszkam, wystawiono dwa obrazy Picassa, rzeźbę Moore'a, kilka rysunków Paula Klee, martwą naturę Braque'a. Pod obrazami nie ma podpisów, a katalog jest odpowiednio drogi. Ale za to za wstęp nie płaci się ani grosza i każdy może tu wejść i wynieść stąd pod pachą te dwa obrazy Picassa albo rzeźbę Moore'a, albo

Dokończenie na str. 5

W numerze:

Nienacki:
O TEATRZE
FILM
Rymkiewicz:
KRONIKA SKANDALICZNA
ROZMOWA Z HORAWIANKĄ
LIST Z PARYŻA
KARIERA ZBRODNI
LIST GOŃCZY

KAROL BADZIAK

MRÓWKI

Piętnaście minut drogi od placu Wolności i zupełnie inny krajobraz, inny świat, ani śladu zakopconej Łodzi: małe parterowe domki wśród ogródków, a w ogródkach kwiaty. Jest tam podobno szkoła ogrodnicza, która daje swym uczniom akurat tyle wiedzy ile potrzeba do założenia przed domem ładnego klombu.

Pierwszym człowiekiem, którego spotkałem był nomen-omen ślepiec w ciemnych okularach. Siedział na małym stołeczku przed domem i wystawiał twarz do słońca, podobnie jak słonecznik. Nie jestem przesądny, ale to był zły znak. Poszedłem dalej, a do ślepca postanowiłem podejść, kiedy będę już wracał. Z głównej arterii, jaką jest ulica Warszawska, ulica rozrzutnie szeroka jak na tamtejsze potrzeby, skręciłem w lewo i z ciekawością włóczyłem się wśród ogródków. Zużel chrzęścił pod stopami. W końcu cóż interesującego może się dziać w takiej dzielnicy szarych ludzi?

Istnieje opinia, że reporterzy zaglądają ludziom do garnków. Chciałbym ją widzieć takiego reportera, który by na Marysinie zajrzał gospodyni do garnka. Dopiero by się miał z pyszna.

— Kup pan tulipany dla żony — zagadnął mnie mały brzdąc.

— Odejdź — odpowiedziałem. Na pewno kradzione. A poza tym ja tu przyszedłem w ważniejszych sprawach.

— No to co, że kradzione? Ale ładne.

Rozbroił mnie tą bezczelną szczerością. Kupiłem.

Spotkanie z chłopcem nasunęło mi myśl rozpoczęcia swego reportażu od dziecięcego, szczerego spojrzenia na życie dzielnicy. Udałem się do szkoły.

Kierownik z chęcią się zgodził i otrzymałem aż pięćdziesiąt dziecięcych reportaży, pięćdziesiąt różowych laurek: „... za kapitalizmu w zgniłym stadium nie było na Marysinie budek telefonicznych...", „... teraz w Polsce Ludowej jest w mojej dzielnicy więcej zieleni niż przed wojną...", „... W ustroju sanacyjnym mój tatuś uczył się w starej szkole, a ja uczę się w nowej...", „... Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wybudował nam tramwaj...", „... socjalizm dał nam kioski z cukierkami i gazetami i wybudował Dom Rencisty, w którym jak będziemy starzy to będziemy mieszkać...".

Owszem, zgadza się, automaty telefoniczne są na Marysinie, nawet ze spisem telefonów zakutym w gruby na dwa palce łańcuch. A zieleń? Najwięcej zieleni w Polsce Ludowej jest na wiosnę. Szkoła? Uczeń, który twierdził, że jego tata chodził do starej szkoły, kończy obecnie siódmą klasę i przez pięć lat uczył się w baraku, gdyż nowa szkoła na Marysinie zbudowana została dopiero półtora roku temu. Dom Rencisty na Marysinie starzy i dzieci nazywają przytułkiem.

Wypracowania pisały dzieci z siódmej klasy i połowa z nich na tym zakończy swą naukową edukację. Czyżby chłopca, który mi sprzedał kwiaty nie było tego dnia w szkole?

Ponieważ z dziećmi się nie udało więc zacząłem się rozglądać za dorosłymi. W moim rzemiośle infantylizm tępią okrutni redaktorzy. Wszyscy reporterzy zaklinają się przed nimi, że materiał, który zebrali, pochodzi prosto „z ludu", ale to wierutna bujda, pochodzi on z rad narodowych. I ja nie byłem wcale lepszy. Zacząłem od świeżo upieczonego radnego, który chrząknął: „Hm, ta część Łodzi jest bardzo młoda jako miasto. Po pierwszej wojnie światowej wyrosła z parodomkowej wioski, a właściwie z folwarku w osiedle, a po drugiej stała się dzielnicą naszego miasta. Ale to nie była zachłanność niesprawiedliwa ze strony Łodzi, wcale nie, Łódź przyszła tu odebrać to, co jej się rzetelnie należało. Przecież niemal wszyscy mieszkańcy co się tu osiedlili, tak, dobrze mówię, osiedlili, pochodzą ze środka miasta.

Ta część Łodzi nazywa się Marysin II i III w odróżnieniu od Marysina I, który znajduje się po drugiej stronie miasta aż w Rudzie Pabianickiej. Do numeracji tej nie należy jednak przywiązywać żadnej wagi. To jest tylko czcza formalność administracyjna, niepotrzebna nawet naszym listonoszom.

Marysin jest siedzibą pięcio-tysięcznego społeczeństwa i dlatego mówią, że jest młody, bo wszyscy ludzie jacy się tu osiedli, osiedlili się nawet nie przed tylu laty ile liczy sobie najstarszy z nich, gdyż ten naj-

Dalszy ciąg na str. 8

ROZMOWA ODGŁOSU

z prof. dr Józefem Gołąbem

Kier. Katedry Geologii Instytutu Geograficznego U. W. i Kier. Katedry Hydrologii U. W.

o

Łodzi podziemnej

— Ile jest prawdy w coraz głośniejszej hipotezie, że przyszłość Łodzi leży pod ziemią?

— To nie hipoteza, to pewnik, oparty o wieloletnie badania naukowe regionu łódzkiego. Złożyły się na to prace naukowe tak wybitnych specjalistów jak prof. dr Dylik z U. Ł. który dał pierwszą morfologię rzeźby ziemi łódzkiej, jak wielce zasłużony prof. dr Samsonowicz, prof. Czarnocki, odkrywca siarki polskiej prof. dr Pawłowski, który swego czasu wykładał na Uniwersytecie Łódzkim a następnie dokonał zdjęć magnetycznych w okolicach Łodzi, jak prof. dr Olczak, i inni. Na podstawie rozważań teoretycznych prof. dr Pożaryskiego oraz docentów: dr dr Znoski i Tyskiego zaprojektowano szereg wierceń badawczych z których niejedne sięgają 3 tys. metrów w głąb ziemi.

— Co to jest geomorfologia ziemi?

— Jest to nauka o rzeźbie terenu. Ponieważ rzeźba ta jest wynikiem procesów z odległych okresów geologicznych stąd ścisły związek geomorfologii z geologią.

— A hydrogeologia? Z etymologicznego rozbioru słowa można domyśleć się, że chodzi tu chyba o wody podziemne?

— Tak jest. Hydrogeologia to właśnie nauka o wodach podziemnych.

— Czy po tej dygresji wolno poprosić Pana Profesora o ściślejsze a zarazem jak najbardziej popularne skonkretyzowanie tajemnic naszego regionu wydartych ziemi?

— Po wojnie dzięki planom Centralnego Urzędu Geologii i jego placówkom jak np. Instytutu Geologicznego rozpoczęto na wielką skalę badania geologiczne mające na celu stworzenie bazy surowcowej dla gospodarki narodowej. W ramach tych badań geologowie odkryli Łódź i jej region. Przypuszczaliśmy i nadal przypuszczamy, że ziemia łódzka kryje duże bogactwa surowcowe: rudy żelazne w Łęczycy już odkryte i eksploatowane, sole potasowe i sodowe w Kłodawie, węgiel brunatny np. w Rogoźnie, bogate surowce budowlane jak np., pokłady kredowe używane do wyrobu cementu i inne.

Ale to wszystko mało. Jesteśmy właśnie na śladach największej rewelacji, jaką kryje w swych głębinach ziemia łódzka, tj. ropy naftowej!

— Czy znane są przyczyny uformowania w naszym rejonie złóż ropy naftowej?

— Przez obszar łódzki przechodzi struktura geologiczna, którą nazywamy antyklinorium (skomplikowany wał skalny) świętokrzysko - kujawsko - pomorskie. Z antyklinorium związane są m. in. sole wznoszące się z wielkich głębokości ku powierzchni w postaci jak gdyby pni. Ich skomplikowana struktura zawiera w sobie nie tylko sole sodowe (sól kuchenna) ale i potasowe. Co więcej, z tymi pniami wiąże się i występowanie ropy naftowej. Zjawisko to znane jest szeroko na świecie stąd nadzieje na przyszłość.

— Skąd jednak pewność, że pokłady ropy uformowały się właśnie w rejonie łódzkim?

— Przypuszczamy, że na antyklinorium, a więc na miejscach wyniesionych, gazy ropne i ropa w ciągu okresów geologicznych uległy zniszczeniu. Natomiast w strefach obniżonych, jak np. w strefie tzw. niecki łódzkiej, pod przykryciem wielokilometrowych, grubych osadów sięgających do 10 km w głąb ziemi, zachowały się poważne złoża ropy naftowej.

— A więc przypuszczenie, iż przyszłość Łodzi leży pod ziemią jest jak najbardziej prawdopodobne?

— To już powiedziałem. Przyszłość Łodzi wiąże się jednak nie tylko z ropą naftową i odkrytymi już surowcami kopalnianymi. Ta ziemia kryje i inne jeszcze bogactwa, a mianowicie wody mineralne i to nie tylko znane solankowe, ale i wody mineralne typu cieplic. O możliwości istnienia takich wód świadczą studnie artezyjskie, gdzie temperatura wody dochodzi do 23 st. Celsjusza.

— A więc Łódź balneologiczna? Czy to bardzo odległa przyszłość?

— To zależy od wierteł głębinowych, które Polska otrzymuje z importu, m. in. ze Związku Radzieckiego. Myślę jednak, że za jakieś 10 lat będzie to już nowa zupełnie Łódź i nowy wysoko uprzemysłowiony okręg łódzki

— Z tego co usłyszałam wynika, że geologia jest matką bogactw surowcowych Łodzi?

— Nie tylko surowcowych. Również i wielu atrakcji szczególnie miłych sercu pięknych pań jak eleganckie fatałaszki, sztuczne futra, perfumy a nawet i mydła. Rozbudowa kopalnictwa węgla brunatnego została dokonana również w oparciu o badania geologiczne prowadzone przez Centralny Urząd Geologii i jego instytuty głównie Instytut Geologiczny przy współpracy Uniwersytetu Łódzkiego. A węgiel to nie tylko surowiec dla przemysłu energetycznego ale również i dla chemicznego.

— Wróćmy jeszcze na chwilę do ropy naftowej. Czy pomyślne zakończenie rozpoczętych prac zadecyduje o pozycji Polski na naftowych rynkach światowych?

— Spodziewamy się, że Polska będzie „krainą naftą płynącą". Nie ma w tym zjawisku nic z „cudowności", gdyż w podobny sposób nafta „objawiła się" swojego czasu na Saharze, w południowej Francji, w północnej Kanadzie oraz na Białorusi.

Ostatnie wyniki badań wskazują, że i my możemy śmiało patrzeć w przyszłość.

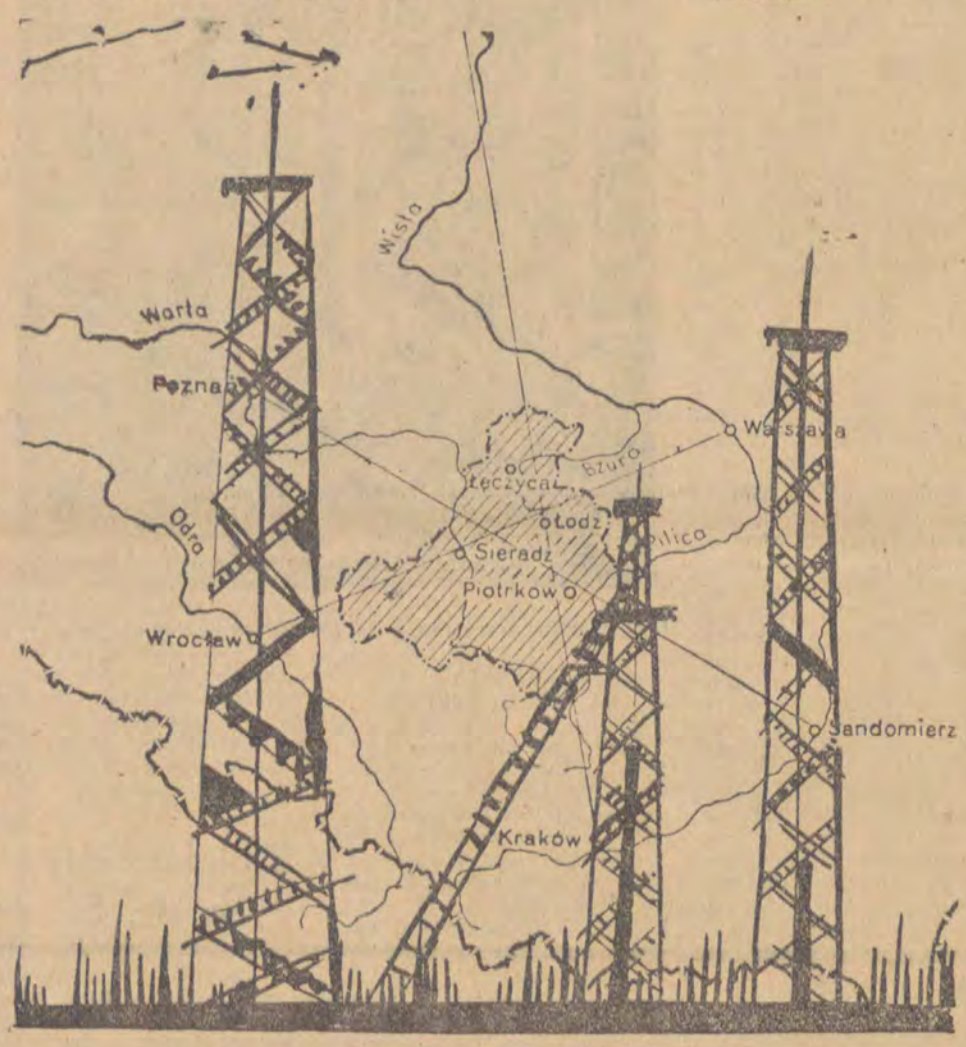

— Dlaczego dopiero po wojnie bogactwa mineralne Polski zaczęły sypać się jak z rogu obfitości. Czyżby dawniej geologia miała opaskę na oczach?

— Wspomniałem już, że odkrycia tych złóż nie są cudem, ale wynikiem naukowych badań udostępnionych geologom przez nową technikę. Jak można było wydzierać ziemi jej skarby skoro nie było nowoczesnych metod badawczych i wierteł docierających na kilka kilometrów w głąb skorupy ziemskiej? W tym aspekcie można śmiało powiedzieć, że tylko dzięki mariażowi geologii z techniką możliwe są tak oszałamiające odkrycia.

— Czy wolno jeszcze zapytać jak Pan Profesor zapatruje się na różdżkarstwo? Czy w obecnych warunkach nowej, wielkiej techniki wszelkie „cudowne" różdżki nie powinny już przejść do lamusa?

— Tak. Różdżka rzekomo wykrywająca złoża mineralne to szkodliwy zabobon nie mający nic wspólnego ani z nauką ani z realnymi warunkami odkrywania bogactw mineralnych. Przypominam sobie pewną receptę wyszperaną z średniowiecznych foliałów. Jest tam przepis na cudowną różdżkę do wykrywania złóż mineralnych. Mówi on: Weź ostry nóż i podczas nowiu, o północy w wigilię św. Jana idź do leszczyny i trzema cięciami od korzenia aż po wierzchołek odetnij a następnie przetnij witkę żeby został koniec szerokości dłoni. Taka różdżka znajdzie ci wszystko.

— Kiedy po raz pierwszy zachwiano mitem różdżkarstwa?

— Jeszcze przed wojną (a nawet i w XV w.). Pracownicy Instytutu Geologii w Berlinie oraz w Szwajcarii zdemaskowali szalbierskie metody pracy różdżkarzy. Po wojnie również i polskie badania wykazały przy pomocy ekspertyzy przedstawionych przez różdżkarzy opinii, iż są one z gruntu fałszywe i nie oparte na jakichkolwiek realnych przesłankach.

Sam zresztą miałem okazję zdemaskować takiego „cudotwórcę" z różdżką podczas badań wstępnych terenu przeznaczonego pod budowę Nowej Huty.

— Czym zakończymy tę interesującą rozmowę na temat podziemnych możliwości łódzkiego regionu?

— Przypomnieniem, iż sukcesy badań geologicznych są wynikiem zespołowej, planowanej pracy naukowej szeregu instytutów i uniwersytetów. Że nowoczesna nauka nie może opierać się na indywidualnych osiągnięciach, gdyż na każdy konkretny sukces składa się praca całej armii specjalistów oraz realizatorów ich twórczych myśli.

Rozm. **K. WYRZYKOWSKA**

W sprawie pewnej polemiki

Do redakcji tyg. „Odgłosy" wpłynęły listy dr Władysława Zajewskiego oraz dr Andrzeja Wyrobisza, starszego asystenta Historii Kultury Materialnej PAN oraz sekretarza redakcji „Przeglądu Historycznego" polemizujące ze stanowiskiem dr Władysława Bortnowskiego („Odgłosy" nr 39 (187) i nr 41 z 15. X. 1961) w sprawie wydawnictw naukowych i polityki wydawniczej w dziedzinie nauk historycznych. Ze względu na specjalistyczny charakter tej dyskusji nie zamieszczamy powyższych głosów — chętnie natomiast wystąpimy w roli czytelników dalszego ciągu dyskusji drukowanej na łamach pism przeznaczonych dla tego rodzaju publikacji.

REDAKCJA

JACEK LEBEN

U progu 44 rocznicy rewolucji

Ci którzy znają Związek Radziecki wiedzą, że święto listopadowe — „nojabrskij prazdnik" nosi już wszystkie znamiona wielkiego tradycyjnego narodowego święta. Podarunki dla najbliższych, karty z życzeniami, śluby i wesela, odświętnie ubrane tłumy na ulicach. To wszystko w oprawie sztandarów, świątecznych haseł, portretów przywódców. Chyba jednak w żadnym kraju na świecie akcenty polityczne, państwowo-twórcze nie przeplatają się tak harmonijnie z odczuciami, myślami każdego obywatela jak właśnie w Związku Radzieckim. Są one tam traktowane naprawdę z głęboką powagą a poczucie odpowiedzialność za losy kraju nigdzie chyba nie jest tak silne jak właśnie w ZSRR.

W dniach świętowania każdej rocznicy podają sobie dłonie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Taki jest przecież znany i nam schemat referatów. Podsumowuje się osiągnięcia, opisuje się dzień dzisiejszy i przechodzi się do perspektyw. Ta 44 rocznica rewolucji splata się nierozerwalnie z XXII Zjazdem KPZR. Dominują na nim te same tradycyjne akcenty przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Ale z jakim ogromnym rozmachem, z jaką głębią w ideologicznej ocenie, z jakim głębokim poczuciem odpowiedzialności za losy całego ruchu robotniczego i całego świata.

Przeszłość to przede wszystkim postępujący proces obnażania szkodliwych następstw kultu Stalina, ideologiczna rozprawa z tym kultem, partyjna walka z tymi starymi działaczami partii, którzy nie umieli czy nie chcieli odejść od jego praktyk i metod.

Przełomowy XX Zjazd Zjazd KPZR znajduje pełne rozwinięcie w czasie obrad w nowym kremlowskim pałacu zjazdów. Nikita Chruszczow powiedział w przemówieniu podsumowującym dyskusję: „XXII Zjazd całą treścią swych obrad potwierdził niewzruszoną wierność wobec tej linii naszej partii, którą wytyczył XX Zjazd KPZR. Dziś uwidoczniło się w sposób jeszcze wyraźniejszy że XX Zjazd usunąwszy wszystkie nawarstwienia okresu kultu jednostki zapoczątkował nową kartę w historii partii, wywarł pomyślny wpływ na rozwój kraju, całego światowego ruchu komunistycznego i robotniczego".

Właśnie teraz w dniach XXII Zjazdu możemy sobie chyba w pełni unaocznić odwagę jaką musieli mieć ci przywódcy KPZR, którzy przeprowadzili głęboką krytykę kultu Stalina, przeprowadzili ją na oczach pokolenia wychowanego w tym kulcie, w warunkach kiedy do wszystkich dziedzin życia radzieckiego i partyjnego przeniknęły i zakorzeniły się w nich głęboko metody działania z tym kultem związane. Chyba z perspektywy naszego kraju i naszej partii, która z nauk XX Zjazdu wyciągnęła głębokie wnioski, można sobie unaocznić następstwa jakie dotknęłyby ruch robotniczy gdyby nie obalono kultu jednostki.

Z referatów i przemówień wygłoszonych na zjeździe może ustalić ideową platformę grupy dogmatyczno-konserwatywnej, do której należeli starzy działacze partyjni o wielkich nazwiskach Mołotow, Malenkow, Woroszyłow, Bułganin, Kaganowicz i inni. Ta ideowa platforma to nie tylko sprzeciw wobec obalenia kultu Stalina i obnażeniu jego następstw, to również antagonistyczna w stosunku do tezy o możliwości prowadzenia polityki pokojowej współistnienia teza Mołotowa o zbrojnym pokoju, którego finałem musi być wojna. To również niewiara w trwałość socjalizmu w krajach demokracji ludowej, które rzekomo nie mogą się obejść bez metod rządzenia, które mieszczą się w szerokim pojęciu „beriowszczyzny", to również kurczowe trzymanie się niektórych ekonomicznych tez Stalina, których prawdziwości życie nie potwierdziło, i których uproszczenia musiałyby hamować rozwój Związku Radzieckiego w warunkach rozwiniętego budownictwa socjalizmu i przechodzenia do komunizmu, to wreszcie niechęć do zerwania z biurokratycznymi metodami rządzenia ze szczebla Moskwy i niewiara w twórcze możliwości milionów działaczy we wszystkich zakątkach tego wielkiego kraju.

Antypartyjna grupa została rozgromiona. Projekt programu i statutu zawiera takie sformułowania, które „powinny stanowić gwarancję, że nie powtórzy się kult jednostki, powinny stworzyć na jego drodze niezawodną zaporę".

Treści XXII Zjazdu zawierają potężny ładunek wiary w możliwości pokojowego współistnienia, apelują one do Zachodu o realizm. „Czas najwyższy — mówił N. S. Chruszczow — aby zrozumieli oni tę oczywistą prawdę, że ze Związkiem Radzieckim i z całym obozem socjalistycznym można dziś rozmawiać tylko z pozycji rozsądku, a nie z pozycji siły".

Przyszłość na Zjeździe, to realna perspektywa budowy komunizmu. Za plecami wielu uczestników Zjazdu, a globalnie całej KPZR i całego Związku Radzieckiego 44 lata budowy socjalistycznego państwa. W perspektywie 20 lat, które mają wystarczyć dla wejścia w komunizm. Na Zjeździe przedstawiciele 80 partii komunistycznych całego świata i miliardowego obozu socjalistycznego, którzy razem z KPZR czerpiąc z jej mądrości i doświadczeń realizują ideę komunizmu.

EWA OSTROWSKA

„Kaleń"

Spośród prezentowanych ostatnio polskich filmów pozwala się z łatwością wyodrębnić zwarta grupa, charakteryzująca się wspólnym nurtem tematycznym: okupacja hitlerowska, względnie bezpośrednie wydarzenia po wyzwoleniu. Uporczywość sięgania do tej problematyki — nieomalże już obsesyjna — mogłaby się stać nieznośną manierą, gdyby nie fakt, że obrazy polskich twórców filmowych przekraczają szablon historyczno-monograficznego filmu wojennego, a stanowią retrospektywną analizę nie tylko samego mechanizmu zdarzeń, lecz przede wszystkim próbę klasyfikacji postaw uczestników tych zdarzeń.

Najchętniej i najczęściej wartościowaną w polskich filmach stała się postawa bohaterstwa. W ten sposób otrzymaliśmy etymologię polskiego bohaterstwa: od spontanicznego i odruchowego bohaterstwa Maćka z „Popiołu i Diamentu", poprzez bezmyślne i mechanistyczne z „Pigułek dla Aurelii" Lenartowicza, do historyczno-narodowego w „Lotnej", lub prób odkładania heroizmu w „Eroice" Munka.

„Ogniomistrz Kaleń" Ewy i Czesława Petelskich wychodzi poza krąg pesymistycznego bilansu jaki na temat bohaterstwa dokonał film polski i podaje diametralnie odmienną definicję bohaterstwa. Fabuła filmu opiera się na powieści Jana Gerharda „Łuny w Bieszczadach" i traktuje o dramatycznych walkach Wojska Polskiego z grasującymi w latach 1945—47 na południowo-wschodnich terenach Polski nacjonalistyczno-faszystowskimi bandami UPA i WIN. Jednak wydarzenia te są jedynie ramą dla przedstawienia widzowi wnikliwego studium psychologicznego jednostki, uwikłanej w te zdarzenia. Sensacyjna narracja spełnia rolę marginesu, gdyż cały ładunek dramaturgiczny ześrodkowuje się na centralnej postaci filmu — ogniomistrzu Kaleniu.

Ogniomistrz Kaleń nie stara się pretendować do miana bohatera. Obcymi pozostają dla niego zarówno wewnętrzne konflikty, jak konflikty z otoczeniem, natomiast łączy cwaniactwo i spryt przysłowiowego warszawskiego szofera z prawie monumentalną choć pozbawioną pretensjonalności i patosu odwagą (scena torturowania) i heroiczną wytrwałością (scena ucieczki od egzekucji). Połączenie tych — jak się wydaje — krańcowo różnych cech osobowości okazuje się zestawieniem prawdziwym psychologicznie i logicznie, ponieważ pojęcie bohaterstwa nie mieści się w kategoriach myślowych ogniomistrza Kalenia, a w jego terminologii żołnierskiej jest ideologicznym nie stosowanym luksusem.

Na czym więc polega istota bohaterstwa ogniomistrza Kalenia, który lubi wypić, zabawić się z dziewczynkami, który złapany przez Winowców wypiera się swej przynależności i podaje za dezertera, który grzeszy wszystkimi cechami żołnierza niesubordynowanego? Usuwając te kontrowersyjne dla polemiki pytania: bohater to czy nie? — dostalibyśmy prawidłowo skonstruowany, wystylizowany przepis na bohatera. Twórcy Kalenia nie starali się upozować go według schematu. Kaleń od początku do końca filmu pozostaje tym czym jest — jednym z wielu — niejako podpatrzonym i uchwyconym na „gorąco" przez kamerę; i ani przez moment nie pozwala wątpić o swojej autentyczności. W takim wymiarze — wymiarze właśnie tej autentyczności — kryteria bohaterstwa muszą ulec przewartościowaniu: bohaterowie są zwykli, są ułomni, są pozbawieni patosu, nie trudzą się dźwiganiem glorii swego bohaterstwa. Dlatego tragiczna śmierć Kalenia, która zostaje poniesiona w obronie człowieka, jest śmiercią potrzebną, a przez to — bohaterską.

Wiesław Gołas w roli ogniomistrza Kalenia tworzy wielką kreację aktorską, przy czym nie wolno pominąć doskonałych ról — Leona Niemczyka i Janusza Kłosińskiego.

Film Petelskich, wyjałowiony ze wszelkiej symboliki i metaforycznych uogólnień, podany w konwencji surowej, dokumentalnej — jest dziełem dojrzałym, tak ze względu na reżyserię, jak i sztukę operatorską.

MIESZANKA FILMOWA

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Dzień ostatni — dzień pierwszy"

Tematyka wzięta z życia codziennego coraz szerzej występuje w filmach radzieckich ostatnich lat. „Cudze dzieci", „Zakochała się dziewczyna", „Gdy kobieta zostaje sama", „Miłość należy cenić" — to tylko wyrwane tytuły z całego szeregu filmów radzieckich dotyczących spraw współczesności. Spierać by się można ze scenarzystami gruzińskiego filmu „Dzień ostatni — dzień pierwszy" czy akurat jeden dzień widziany oczami starego listonosza i jego trochę może zbyt prozaicznej uczennicy, są najszczęśliwszym chwytem kompozycyjnym? Czy raczej głębsze ukazanie jednego tylko problemu ze współczesnego życia w Związku Radzieckim nie byłoby bardziej celowe niż kalejdoskopowe przeskakiwanie z jednej sprawy w drugą? Ale to są tylko wątpliwości i refleksje recenzenta.

Reżyser Siko Delidze, twórca bardzo popularnej u nas komedii „Konik polny" potrafił jednak nadać całości tyle wdzięku i szczerości, że z łatwością zyskuje swoim filmem sympatię widzów dla pary swoich głównych bohaterów.

Stary listonosz Georgij przez lata chodzenia po piętrach domów, poznał ich mieszkańców nie tylko z naz wisk, ale także od strony ich spraw codziennych, trosk, zmartwień. Jego adresaci są zwykłymi ludźmi, czasami nie potrafiącymi poradzić sobie w swoim codziennym życiu. Georgij jest więc doradcą, opiekunem, starającym się pomagać bardzo dyskretnie. Tę sympatyczną postać odtworzył znakomicie aktor gruziński S. Zakariadze. Jego miłą uroczą pomocnicą jest młoda aktorka B. Mirianszwili.

Całość utrzymana w dobrym tempie, z ciekawymi zdjęciami pięknych plenerów Gruzji i jej stolicy Tbilisi, dając podstawę dla stwierdzenia że „Dzień ostatni — dzień pierwszy" stanowi udany film obyczajowy.

MIESZANKA FILMOWA

DNI filmu radzieckiego

Doroczne Dni Filmu Radzieckiego odbędą się w kinach Łodzi i województwa w dniach od 3 do 30 listopada br. Podkreślić należy, że ten sam zestaw nowych filmów radzieckich, których premiery odbywać się będą w Łodzi, ujrzą również widzowie w Tomaszowie Mazowieckim, w Piotrkowie, w Skierniewicach, Radomsku, Pabianicach i innych ośrodkach miejskich woj. łódzkiego. Centrala Wynajmu Filmów wspólnie z Miejskim i Wojewódzkim Zarządem Kin organizuje z tej okazji atrakcyjne konkursy na temat filmu radzieckiego.

Nowe filmy radzieckie będziemy recenzować w osobnych omówieniach. Dzisiaj w telegraficznym skrócie sygnalizujemy ukazanie się na ekranach ośmiu nowych fabularnych filmów radzieckich. Ujrzymy więc trzy komedie: „Tańcząca wiosna" reż. W. Dormana i G. Ogonisjana (w filmie tym wystąpił znany także w Polsce zespół taneczny „Bieriozka"), „Żegnajcie gołębie" reż. Jakuba Segela, który w swoim czasie zrealizował razem z reżyserem Kulidzanowem „Dom, w którym żyjemy", nagrodzony w 1958 roku specjalną nagrodą Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nowy film reż. Segela otrzymał nagrodę krytyki filmowej FIPRESCI na Festiwalu w Locarno. Reż. Koszewierowa zrealizowała barwną komedię „Ostrożnie babciu", którą także ujrzymy w ramach Dni Filmu Radzieckiego.

Wśród filmów o tematyce wojennej i wojskowej wymienić należy film reż. I. Szulmana „Porucznik Marynin", jest to dramat wojenny, którego akcja toczy się podczas ostatniej wojny. W lekkiej formie o sprawach współczesnych w wojsku, opowiada film „Skok o świcie" reż. I. Łukinskiego, autora znanego u nas filmu „Szeregowiec Browkin".

Dość pokaźnie, w stosunku do lat poprzednich, zaprezentowana zostanie tematyka współczesna, dotycząca spraw codziennego życia ludzi radzieckich. Dramatem psychologiczno - obyczajowym jest panoramiczny film „Samolot odlatuje o dziewiątej" reż. Łysienko. Filmem tematycznie związanym z zagospodarowaniem nowych ziem, opowiadającym o konfliktach w środowisku współczesnej młodzieży radzieckiej jest dramat reż. Julija Karsika: „Czekajcie na listy". Dramatem psychologicznym są także „Ludzie na moście" reż. A. Zarki.

W Dniach Filmu Radzieckiego ukażą się na naszych ekranach wznowienia filmów radzieckich zaliczanych do klasyki filmowej: „Iwan Groźny", „Lenin w październiku", „Aleksander Newski" — Sergiusza Eisensteina, „Lecą żurawie" Kałatozowa.

LIST GOŃCZY

Ober-morderca i oberstурmbannführer Otto Skorzeny

poszukiwany jest
Otto Skorzeny
w/w występował pod fałszywymi nazwiskami:
Müller (1938 rok w Wiedniu),
dr Wolff (wrzesień — październik 1944 r. w Budapeszcie),
Solar (listopad — grudzień 1944 r. w Niemczech i Belgii),
mister Abel (1947 r. w Historical Division amerykańskiej służby wywiadowczej w Neustadt an der Lahn),
Rolf Steiner (1950 rok w Hamburgu),
Pablo Lerno (1951 r. w Szwajcarii, Włoszech i Francji),
Antonio Scorba (1954 — 1955 r. w Austrii),
Robert Steinabuer (od 1951 r. w Hiszpanii).
Od 1932 roku członek NSDAP nr 1083871, od 1934 roku członek SS nr 29579, agent Służby Bezpieczeństwa, były jeniec wojenny armii USA.
Poszukiwany jest zbrodniarzem wojennym; lista zbrodniarzy wojennych CSRS nr 7372, lista zbrodniarzy wojennych Komisji Narodów Zjednoczonych nr 4095/48-11. Poszukiwany zbiegł 26 lipca 1948 roku z obozu dla głównych zbrodniarzy wojennych w Darmsztacie,

Rysopis

Wiek: 53 lata; ur. 12 czerwca 1908 r., w Wiedniu.
Wzrost: 1 m 96 cm.
Postawa: wysportowana, szybkie ruchy, silnie zbudowany.
Twarz: głowa o kształcie prostokątnym, pochyłe czoło, trzy poziome fałdy na czole, blizny na lewym policzku.
Cera: śniada.
Włosy: ciemne-blond.
Oczy: szaro-zielone.
Nos: średniej szerokości.
Broda: wysunięta.
Usta: wąskie, dokładnie widoczna blizna od cięcia szablą od lewego kąta ust w dół.
Znajomość języków: język niemiecki — literacki, angielski i hiszpański z niemieckim akcentem.
Poszukiwany popełnił następujące przestępstwa i zbrodnie: fałszowanie i wprowadzanie w obieg fałszywych pieniędzy, fałszowanie papierów wartościowych, dokumentów i dowodów, napady rabunkowe, szantaż, przynależność do zbrodniczych organizacji, zdrada stanu (Austria 1938 r.), przynależność do tajnych organizacji, zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości (maltretowanie i mordowanie osób cywilnych i dokonywanie rabunków).
Uwaga: Zachować ostrożność. Poszukiwany posiada broń".

Czy obok przytoczony list gończy ujrzał światło dzienne? Czy lista wyczynów, za które odznaczono Skorzeny'ego krzyżem rycerskim z liśćmi dębowymi i brylantami jest zbyt szczupła, by tropić go jako przestępcę?

ZAGADKOWA UCIECZKA

Ogrodzenie z drutu kolczastego otaczające obóz nie wykazywało podejrzanych śladów. Mimo to agent do specjalnych poruczeń Hitlera, ostatni szef niemieckiej wojskowej służby wywiadowczej, Otto Skorzeny, uciekł z obozu dla zbrodniarzy wojennych w Darmsztacie.

Przez dwa dni nie spostrzeżono jego ucieczki, a ściślej mówiąc, administracja obozu „nie starała" się o to.

Sensacyjna wiadomość przedostała się jednak poza druty. Dziennik „Darmstädter Echo" donosi: Dotychczas nie udało się ustalić czy Skorzeny korzystał z pomocy z zewnątrz przy organizowaniu ucieczki".

Korespondenci pism zagranicznych zwrócili się o informację do heskiego ministerstwa spraw wewnętrznych.

Rzecznik ministerstwa oświadczył: „Skorzeny zbiegł z obozu dla internowanych. Wniesiono przeciw niemu akt oskarżenia jako głównemu zbrodniarzowi wojennemu. Rozprawa odbędzie się zaocznie".

Zbieg miał więc 48 godzin przewagi. Jednakże szanse powodzenia ucieczki w owym czasie były, obiektywnie biorąc, bardzo słabe. Przede wszystkim prawie dwumetrowy wzrost utrudniał mu ukrycie się. Ponadto wyróżniały go blizny na twarzy. Zasadniczą trudność stanowiły ostre kontrole drogowe i kolejowe, szczególnie na granicach stref okupacyjnych. Wydawało się, że mysz nie zdoła wydostać się poza granice Niemiec zachodnich. Jednak szef podziemnej armii SS umknął niepostrzeżenie.

Kim był właściwie Otto Skorzeny?

WOJNA TOTALNA

Berlin, luty, 1943 rok.

Mało przypominający wyglądem bohaterów wagnerowskich, dr Józef Goebbels, zwraca się do elity partyjnej z teatralnie wzniesioną prawicą:

— Czy zgadzacie się na wojnę totalną?

— Ja, ja... — wrzeszczą z zapałem bonzowie.

Wojna totalna? Czy można było jeszcze bardziej „przykręcić" śrubę terroru?

Na froncie sytuacja uległa zasadniczej zmianie. W stalingradzkim kotle stracono dwie armie.

Czerwona Armia przystąpiła do ofensywy na froncie szerokości półtora tysiąca kilometrów, zaś Anglo-Amerykanie, korzystając ze zwycięstw radzieckich nacierają na korpus Rommla w Afryce.

Wojna totalna powołuje w szeregi Wehrmachtu niezdolnych do noszenia broni, w przemyśle zbrojeniowym obowiązuje dwunastogodzinny dzień pracy.

Reichsführer SS, Heinrich Himmler, mianowany ministrem spraw wewnętrznych, powiększa ilość obozów koncentracyjnych do 85 (przed wybuchem wojny było 28). SS panoszy się coraz bardziej, osiąga przewagę nad wojskiem, wzrasta w siły. W czasie napaści na Polskę istniała tylko jedna dywizja oddziałów z trupimi główkami, obecnie dąży się do zorganizowania milionowej armii SS.

Himmler zdaje sobie jednak sprawę, że nawet milionowa armia nie wpłynie tak decydująco na losy wojny, jak totalna wojna podziemna.

Stanowisko szefa policji i służby bezpieczeństwa obejmuje nowy człowiek. Jest nim Ernest Kaltenbrunner, znany z brutalności SS-führer Górnego Dunaju. Odtąd podlega mu gestapo oraz sieć szpiegowska szeroko rozgałęziona w kraju i za granicą.

Służba bezpieczeństwa współpracuje z wywiadem Wehrmachtu, konkurując jednocześnie o względy i łaski führera.

Pan admirał Canaris zawodzi na całej linii w wykonaniu zadań planu Barbarossa. Wehrmacht uskarża się na brak informacji, a siatka szpiegowska topnieje z dnia na dzień.

Nie udaje się również zorganizowanie piątej kolumny wśród narodów Związku Radzieckiego, a osławiona jednostka dywersyjna „Division Brandenburg" ponosi coraz większe straty.

Nic więc dziwnego, że admirał traci coraz bardziej względy Hitlera, a Himmler forsuje hegemonię SS w zakresie służby wywiadowczej, licząc na jeszcze większe wpływy w polityce zagranicznej.

TAJNE ZLECENIE

Nie upłynęło 30 dni od proklamowania wojny totalnej, gdy SS Hauptsturmführer Skorzeny otrzymuje tajną funkcję pod kryptonimem VI S. (VI — oznacza — ODDZIAŁ ZAGRANICZNY URZĘDU BEZPIECZEŃSTWA, zaś S — SABOTAŻ).

Bezpośrednim instruktorem szefa sabotażu jest Kaltenbrunner. Zadanie brzmi: zorganizować błyskawicznie totalnie działającą służbę tajną i przystąpić do działania globalnego.

„Totalnie" oznacza zamachy bombowe, dywersję, rabunek, sabotaż, truciznę, mord.

„Globalnie" — akcję podziemną w całym świecie.

KARIERA ZBRODNI

W Iranie i w Indiach należy uzbroić przeciw Anglikom plemiona górskie, w rejonie Kanału Sueskiego zaopatrzyć nurków w środki wybuchowe dla wstrzymania żeglugi, w jugosłowiańskiej i francuskiej armii podziemnej zorganizować siatkę szpiclów.

Plan działania w Stanach Zjednoczonych obejmuje wysadzanie w powietrze zakładów przemysłu wojennego, a w Wielkiej Brytanii szeroko zakrojoną informację szpiegowską za pośrednictwem radia. W Rio de Janeiro Piąta Kolumna ma zorganizować silnie uzbrojone bojówki.

„Podkładkę" dla szantażu i zamachów stanowi kartoteka z nazwiskami wpływowych polityków i mężów stanu całego świata.

Za wszelką cenę należało przyciągnąć zdrajców do akcji. Główne uderzenie skierowano na Związek Radziecki.

Ogłoszono alarm dla antykomunistów wszystkich odcieni. Zniszczenia przemysłu wojennego za Uralem miała dokonać w zastępstwie nieudolnej Luftwaffe armia dywersantów i morderców. Słowem wojna podziemna miała powstrzymać klęski militarne, a nawet przechylić szalę zwycięstwa.

Skorzeny otrzymał do swej dyspozycji nieograniczone środki.

Bezpośredni szef Skorzenego, SS Brigadeführer, Walter Schellenberg, wspomina w swym pamiętniku: „Poprzednik mój nie mógł przekroczyć miesięcznie sumy 100 tysięcy marek. W czasie mojej ośmiomiesięcznej działalności w Wydziale VI suma dyspozycyjna wynosiła już kilka milionów marek, a w przypadkach uzgodnionych z Himmlerem lub Hitlerem mogłem pracować bez ograniczeń...".

Mocodawcy wymagali jedynie wyników pracy.

GIMNASTYCY

Stanowisko zawdzięczał Skorzeny dawnym „zasługom". Kaltenbrunner znał przecież swego „krajana". Znajomość ich datowała się od menzur korporacyjnych, których jeszcze widome ślady nosił Otto na lewym policzku.

Wieloletnia była również jego znajomość z wodzem austriackich nacjonalistów Arturem Seyss-Inquart'em.

W 1932 roku w upalny dzień lata, Józef Goebbels zdobywa w czasie wiecu w wiedeńskiej Engelmann-Arena 24-letniego Ottona d... idei pangermańskiej, realizującej w pierwszym etapie Anschluss.

Skorzeny zgłasza swą kandydaturę do partii. Dzięki poparciu Kaltenbrunnera otrzymuje odpowiedzialną funkcję współpracownika „Nationalsozialistische Nachrichten" okręgu Währing.

NSDAP-owcy tworzą w Austrii Piątą Kolumnę.

W 1934 roku Skorzeny składa przysięgę na śmierć i życie w SS Standarte 89.

Zamach stanu Hitlera rozpoczyna faszystów austriackich.

Monachium zaopatruje podziemne arsenały Wiednia w nowoczesną broń maszynową.

W połowie 1934 roku czołowi hitlerowcy, jak Seyss-Inquart, Kaltenbrunner i ... brze znany Polakom z okresu Generalgouvernement Odilo Globocnik, otwierają sklepy z bronią i zakładają oparski ze swastyką.

SS Standart 89 przystępuje do dzieła. Hitlerowcy w ohydny sposób mordują kanclerza Dolfussa. Mimo to jednak nie udaje się wówczas faszystom dokonać Anschlussu. SS-owcy wracają znów do podziemia.

Otto Skorzeny w „świetle dziennym" jest solidnie wyglądającym małżonkiem ... szefem firmy budowlanej. Wytworna wizytówka akcentuje ogólnie szanowany zawód inżyniera.

W ciągu następnych lat wiedeńscy SS-owcy ukrywają się, działają w stowarzyszeniach sportowych i gimnastycznych o niewinnie brzmiących nazwach, obracają się w solidnych mieszczańskich sferach śmietanki towarzyskiej naddunajskiej stolicy.

Jednym z takich hitlerowskich stowarzyszeń jest „gimnastyczna organizacja „Deutsche Turnverband".

Tu zawiązują się nowe hitlerowskie bojówki.

Opr. J. JANISZEWSKI

Bilet wizytowy oddziałów SS

KAZIMIERZ ZYGMUND

List znad morza

NA SZLAKU: ŁÓDŹ–DARŁÓWEK

Jesteśmy w Darłówku, nad morzem. Jest pełna jesień szare chmury, szare morze, od czasu do czasu mały sztorm, w dali wyłania się statek ratowniczy, który został wezwany przez kutry. Nic ciekawego się nie dzieje, plaża pusta, po ostatnich gościach, młodych lekarzach, którzy przebywali tu na obozie, pozostało tylko wspomnienie.

Można powiedzieć, że Darłówek żyje wspomnieniami lata. Darłówek ma swoich kronikarzy, którzy przypadkowych gości będą bawić facecjami z ubiegłego sezonu, niezrównany w tym zakresie jest pan Zdzisław, kelner, również opowieści kapitana statku F-3, Wiktora Malczewskiego są bezcenną rozrywką w te nudne dni. Znana jest wszystkim przygoda pewnego pisarza, ponieważ jest to opowieść aluzyjna, jak przed wojną o literatach, którzy chodzą w podartych butach, więc nazwiska nie wymienię. Otóż pisarz ów wybrał się kiedyś w rejs kutrem rybackim (wyprawa po materiał literacki), zabrał ze sobą skrzynkę wódki, lecz niestety, niewiele mu to pomogło, rozchorował się biedak, piętnaście dni przeleżał w kajucie, książki nie napisał.

Ale Darłówek prowokuje do książki. Mimo że pozornie panuje tu spokój, tylko kutry rybackie wypływają cicho na morze, nic się niby nie dzieje. Mnie na przykład oburza, że Darłówek został zdegradowany do roli portu rybackiego, chociaż ma wszelkie dane, aby był portem przeładunkowym. Tak, jak zresztą było od lat. Nie dziwię się, że kapitan portu, Witold Hubert, stary marynarz z okrętu wojennego „Wicher", nie może się pogodzić z obecnym przeznaczeniem portu.

Darłówek i Darłowo, to nie tylko miejscowości, które ściągają wczasowiczów, ludzi rozmiłowanych w historii, malarzy, operatorów filmowych. Miejscowości te rozwinęły się w stosunkowo krótkim czasie i stanowią dziś poważny ośrodek przemysłowy w województwie koszalińskim.

Ale to nie znaczy, żeby wszystko było w porządku. Prawdziwą encyklopedią Darłowa jest radny miejski pan Fiodorow. On to zwrócił mi uwagę na sprawy związane z lecznictwem. Sprawozdanie nie było budujące. Nie tylko Darłowo i okolice są pozbawione należytej opieki lekarskiej. W całym województwie koszalińskim odczuwa się jeszcze brak lekarzy. W tej chwili, jak mnie zapewnił kierownik tamtejszego wydziału zdrowia, w miasteczkach i wsiach województwa koszalińskiego może znaleźć zatrudnienie około czterdziestu lekarzy.

Myślę, że tymi względami kierowały się władze Akademii Medycznej w Łodzi i ZSP organizując w Darłówku obóz społeczno-naukowy lekarzy i studentów łódzkich.

W czasie miesięcznej działalności grupy lekarskiej z Łodzi, przebadano i udzielono porad około trzem tysiącom robotników w zakładach pracy i na wsi, między innymi w Słupsku, Darłowie, Ustce itd.

Myślę, że gdyby miejscowe władze zadbały o lepsze warunki pracy młodych lekarzy, to takie akcje z pewnością można by powtarzać i dałyby one nie tylko rezultaty statystyczne.

Ale to tylko sygnał dla łódzkich adeptów sztuki lekarskiej. Korzystam z okazji i przesyłam zaproszenie z Darłowa. Tak więc Darłowo żyje nie tylko przeszłością. Chociaż — kto wie. Może właśnie ta przeszłość okaże się najbardziej sugestywnym inspiratorem pomysłów literackich. Idźcie na przykład na ulicę Wenedów. Nie bierzcie wódki. Nie potrzeba.

Ulica Wenedów. Ta wąziutka, zbudowana i na pozór ciasna uliczka, podobna do wielu innych w mieście, ma swoją historię. Mieszkali tu kiedyś Słowianie. W tym tylko rejonie Niemcy pozwalali dawniej mieszkać ludności słowiańskiej.

Pan Fiodorow — były nauczyciel Szkoły Rybołówstwa Morskiego, a obecnie kostodian Muzeum Darłowskiego — odnalazł dokumenty, które ujawniają szczegóły pochodzenia tych ulic.

W zamku darłowskim u pana Fiodorowa, bo obecnie on zasiada na fotelu Księcia Eryka I, można spędzić dzień jak sen.

Ba, poznałem tu młodych ludzi, którzy wysłuchawszy romantycznych historii o życiu Księcia Eryka — wielkiego uwolziciela — zaglądali tu co dzień, prawdopodobnie po to, by kontemplować napis wyryty na łożu małżeńskim Eryka: „Sen czasem przezwycięża miłość". Dodajmy: ale nie miłość do naszych starych ziem.

NOTATKI LENIWEGO TURYSTY

Dalszy ciąg ze str. 1

martwą naturę Braque'a. Jeśli, oczywiście, ma pieniądze. Bo te obrazy wystawiono tu na sprzedaż. O tej samej porze przez salony National Gallery przechodzą tysiące zwiedzających. Tu, na Bond Street, jest nas w tej chwili tylko dwóch: ja i ten drugi, siedzący przy biurku z telefonami. Choć każdy może tu wejść, nikt prawie nie wchodzi. Bardzo trudno jest patrzeć na obrazy, które może już za kilka dni zostaną sprzedane.

SALONY MADAME TUSSAUD

Czyż w tym, co pisałem i piszę, nie byłem zawsze wierny historii (historii narodu albo historii cywilizacji albo historii rodziny)? Ale pokora wobec historii jest godna pogardy. I godny pogardy jest ten, kto uważa historię za coś, co raz już się odbyło i co nie ulega i nie ulegnie nigdy zmianie. Dlatego z gniewem i ze wstrętem wychodzę z tych salonów woskowych okropności, założonych przed laty przez madame Tussaud.

Te umundurowane figury (Napoleon i Chessman i Voltaire jak żywi, a przecież bardziej martwi niźli ich ścierwa, gnijące w ziemi), odpowiadały na moje pytania głosem obojętnym i chłodnym, głosem należącym do historii martwej, uniwersyteckiej — tej, z którą mnie nic nie łączy i która mnie nic nie obchodzi. Tu się urodziłem, tu walczyłem, tu kochałem, tu zmarłem, to wszystko.

Nie ma nic obrzydliwszego, niż historia zastygła, historia w bezruchu, historia z salonów madame Tussaud.

CZŁOWIEK W SZKLANEJ GABLOCIE

W British Museum, w szklanej gablocie, leżą skurczone zwłoki starego człowieka. Patrz, mówią dzieci, zatrzymując się przed gablotą, wygląda jak żywy. Umarł kilka tysięcy lat temu, cieple piaski Egiptu przechowały ciało, włosy, kości, obciągnięte brunatną, popękaną skórą. Nikt nie wie, kim był, nikt nie wie, jakie cywilizacje poprzedziły chwilę jego narodzin. Kilka glinianych naczyń, to wszystko, co pozostało. Nigdy nie dowiemy się już o nim niczego więcej. Umarł, ale dlaczego? Umarł, ale jak? Ma grób w szklanej gablocie i jest w tym coś nieprzyzwoitego, coś urągającego temu człowiekowi, jego nieznanej cywilizacji i jego nieznanym bogom. Mumie, które wystawiono w przyległej sali, nie wywołują tego wrażenia. Te tułowia, owinięte grubym płótnem, pomalowane ręką chytrego artysty, który znał sekrety bogów, albo zatrzaśnięte w drewnianych, kolorowych trumnach, chronione są po dziś dzień przez konwencję, obyczaj sprzed 2 czy 3 tysięcy lat. Człowieka w szklanej gablocie nie broni żadna konwencja, umowa, dotycząca sposobu umierania i sposobu grzebania umarłych, ponieważ nie znamy konwencji, która by mu przysługiwała.

Patrz, mówią dzieci Anglików, chronione przez angielską konwencję grzebania zmarłych, patrz, wygląda jak żywy.

TURNER

Turner, największy malarz Anglików (tworzący na przełomie XVIII i XIX wieku), choć może drażnić, bo na pewno jest nierówny, a niektóre z jego morskich pejzaży zbyt już przypominają Ajwazowskiego — doszedł przecież do czegoś, co jak się zdaje jest dziś marzeniem wielu. Zlekceważył (ale tylko pozornie) formę, chlapał farbami na płótno i traktował powietrze i światło tak, jak w 50 czy nawet w 100 lat później potraktowali je impresjoniści. A przecież nie przestał być malarzem obyczajów. Droga, którą doszedł do tej harmonii — osiągnął ją, nie bez wyrzeczeń zresztą, tylko w kilku obrazach — jest na pewno godna prześledzenia.

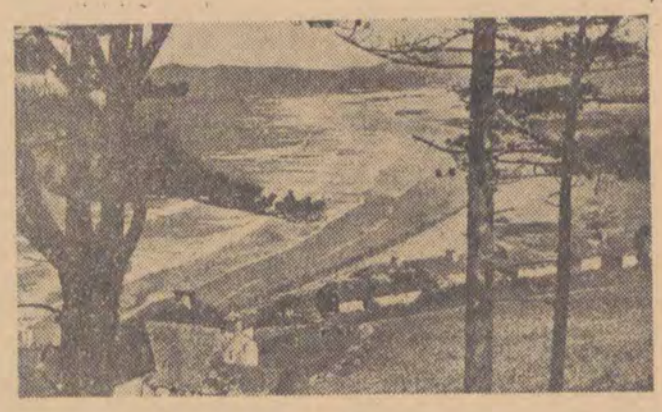

Wybrzeża wyspy

Turner malował najchętniej statki, dopływające do brzegu, i mgły, rozświetlone słońcem, nad wodami Kanału. Ponieważ pozostał wierny oku, uchodzić może i dziś — tak jak zapewne uchodził przed laty — za realistę. Na jego obrazach, pod wirującym niebem impresjonistów, mali ludzie leżą w cieniu skruszonych kolumn i w żagle statków dmie zamierzchły, łagodny wiatr.

Anglicy bardzo kochają Turnera i wystawili mu piękny pomnik: w małej gablotce, w sali, gdzie na ścianach powieszono świetliste obrazy tego malarza, leżą farby, paleta i pędzle, których Turner używał.

ODLOT

Przelatujemy nad Kanałem, i oto już Kontynent, zapada zmierzch, krajobraz zmienia się nagle, z wieku cywilizacji — skrzydła żaglówek, kolorowe samochodziki, małe kraby dźwigów, helikopter nad dachami miasteczka — wpadamy w wiek bez cyfry. To pierwsze dni stworzenia, ziemia mrocznieje, pod skrzydłem samolotu przesuwają się błękitno-szare pasma obłoków, brunatno-żółtą równinę przecina wielka rzeka. Srebrzysta i błękitna, wije się aż po krańce horyzontu i, czerwieniejąc, ginie między wieżami obłoków. Tam, gdzie lecimy, formują się już ciężkie, żółte chmury nadciągającej nocy i słońce wybucha, kruszy się, rozpada. Tak właśnie maluje Salvator Dali, w takim krajobrazie brunatno-żółtych gór i błękitnego nieba rozgrywają się jego okrutne fabuły, mrówki ogryzają szczątki ludzkie i trwa taniec seksualny w tle „Metamorfoz Narcyza".

Czymże są jednak przerażenia, jakie może nam ofiarować sztuka współczesna, wobec tego lęku jaki odczuwają podróżni, lecący przez krajobraz wieczornych chmur?

Oddycham z ulgą, kiedy kolory gasną, zapada noc i pod skrzydłami samolotu, tego zwierzaka poczciwego i wiernego (choć, mimo że mieszka w przestrzeni platońskiej, wcale nie idealnego) zapalają się pierwsze światła ludzkich osiedli.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Londyn w nocy

TADEUSZ PAPIER

CZAS - KARABIN

Jeszcze jedna książka o okupacji. W ostatnich miesiącach obserwujemy nasilenie literatury okupacyjnej i to jest zrozumiałe. Jest jeszcze wiele nie zamkniętych rozliczeń z tamtym okresem, czas upływa, sądy dojrzewają.

Ale powiedzmy od razu: wolałbym, aby „Czas — karabin" Ryszarda Klimczaka nie traktować jako powieści. Niech to już będzie, jak zaznacza nota redakcyjna, zbeletryzowany pamiętnik, dokument pisany „przez świadka zaangażowanego w wypadkach, które pokazuje". Wolałbym, aby to był rzeczywiście pamiętnik. Gdyż w wypadku powieści trzeba by przykładać inne szkiełko oceny, inną miarę. Kokieteria powieściowa osłabia akcenty, które są interesujące w tej oryginalnej relacji o czasie przeszłym. W książce znajdują odbicie osobiste przeżycia autora, którego losy wojny zagoniły do małego miasteczka położonego w kieleccyźnie. Autor nie podaje nazwy tego miasteczka, można jednak zorientować się gdzie ono jest umiejscowione. Punkty orientacyjne są wyraźne. Zresztą dużo ważniejszy jest tu klimat, ten jest oddany bardzo wiernie, trafnie podpatrzone obyczaje w czasie okupacji, życie małego miasteczka, rzekomo spokojne, nad którym jednak unosi się cień śmierci, groźny śmiech hitlerowca.

To jest ciekawe: autor pokazuje drogę rozwojową bohatera, młodego chłopca, od naiwnego harcerzykowania do prawdziwej walki z okupantem w szeregach Armii Ludowej, a przecież nie perypetie młodego Wojtka Klinika wysuwają się na plan pierwszy. Tu fabułą najbardziej ciekawą jest sama historia. Tematy okupacyjne zawsze będą zahaczać o struny drażliwe i tragiczne; jak wieczny cień towarzyszyć będzie każdej relacji wspomnienie upokarzającego września. Klimczak próbuje rozprawić się z tymi urazami. Na przykładzie Klinika chce pokazać proces dojrzewania młodego chłopca, ale ta ilustracja ma sens uogólniający. Wcześniej czy później nastąpi kompromitacja programu, w którego klimacie wyrastała młodzież przed wojną i wówczas — nawet naiwny harcerzyk — musi trafić na właściwą drogę. „Wojtek przystał do komunistów", powiada autor i czytelnik jest przekonany o prawdzie tego kroku. Klimczak opisuje walki oddziałów Armii Ludowej. Ta relacja jest interesująca. I znowu nie w swojej fabule fikcyjnej: historia z małym przewodnikiem, który przeprowadza partyzantów, jest równie wzruszająca co ograna. A przez to banalna. Autor „Czasu — karabinu" jest odkrywczy w postawieniu zagadnienia. Jego spojrzenie na działalność Armii Ludowej jest ciekawe. Książka pokazuje nie tylko szare dni partyzanta — pokazuje legendę. Legendę o bohaterstwie, opartą na faktach. W tym kontekście można mówić o próbie rozprawienia się z urazami narosłymi po tragicznym wrześniu. Tu jeszcze jest nadwiślański czarnoziem, powiada autor, kto posiada pół hektara i kupę dzieci, nie rozczula się nad dawną sławą tego czarnoziemu. Ale spojrzenie chłopa, który współdziała z partyzantami, na rozgrywający się teatr życia, jest i twórcze i rewolucyjne. Jaka szkoda, że „Czas — karabin" nie jest pamiętnikiem „sensu stricto". Byłby to niezwykle ciekawy dokument. I o nie mniejszej wadze artystycznej niż dobra powieść.

* * *

Ryszard Klimczak, „Czas — karabin", Wydawnictwo Łódzkie, str. 210, cena zł 12.

Kronika Skandaliczna Barbary Radziwiłłówny

PORTRET BARBARY (I)

Kiedy zaczął się ich romans? Ponoć jeszcze za życia królowej Elżbiety rakuskiej, pierwszej żony Zygmunta Augusta zwanej też Halszką, cierpiącej na padaczkę i zmarłej 15 czerwca 1545 roku po krótkim zaledwie dwa lata trwającym, niezgodnym i bezpotomnym małżeństwie. Bo już w 1544 roku zaczęły w Polsce krążyć tajemne wieści, że piękna Barbara Radziwiłłówna, wdowa po wojewodzie nowogrodzkim, a potem — trockim, Stanisławie Gasztołdzie, „usidliła" młodego króla Zygmunta Augusta. Młodego (w dzisiejszym rozumieniu), bowiem oboje, Zygmunt i Barbara mieli w 1544 roku akurat po dwadzieścia pięć lat.

Historia tego głośnego romansu (który w ciągu czterystu dwudziestu bez mała lat wywoływał i wywołuje zainteresowanie Polaków, rozkochanych — jak wiadomo — w historii swej ojczyzny) jest od początku do końca pełna sprzeczności i najeżona zadziwiającymi wątpliwościami. A więc, na przykład, w opinii szerokich kół utrzymuje się przekonanie o niezwykłym, uwodzicielskim uroku i temperamencie Barbary, które (urok i temperament) „opętały" młodego króla. Tymczasem badania przeprowadzone w 1931 roku po ekshumacji zwłok Barbary (cytuję za Witoldem Ziembickim „Barbara Radziwiłłówna w oświetleniu lekarskim". Pamiętnik VI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Wilnie w 1935 r.) wykazały, że konstytucja psychofizyczna Barbary odpowiadałaby typowi o cechach leptosomicznych. Ludzie tego typu odznaczają się: usposobieniem flegmatycznym, zamkniętym, skłonnym do dziwactw i samotności. I co ciekawsze, że ten opis zgadza się z przekazami ze źródeł historycznych, w których nie można się dopatrzeć tak rozreklamowanego w opinii szerokich kół „temperamentu" królewskiej żony. Hipoteza więc o „rozwiązłości" Barbary upada, chyba że nie będziemy tej „rozwiązłości" rozumieć w dzisiejszym sensie, albo pochodzenia jej będziemy szukali gdzie indziej.

Skoro już jesteśmy przy ekshumacji, to jak wykazały pomiary Barbary była wzrostu średniego (chociaż może nawet jak na kobietę — wysokiego, 160,2 cm), szczupła i — sądząc z portretu — blondynka, gdyż z włosów znalezionych na szczątkach, nie można nic wnioskować: były one rude jak zwykle włosy po upływie długiego okresu czasu. Natomiast według świadectw ówczesnych, Barbara była piękna „na schwał niby Helena (piękna Helena), cerę miała białą, alabastrową budowę delikatną, postać wiotką", i odznaczała się „słodyczą wejrzenia, łagodnością mowy, i powolnością ruchów".

Do sprzeczności w popularnych opiniach o Barbarze zaliczyć należy również i to, że przekonanie o jej „temperamencie" nie przeszkadzało w idealizowaniu tej pokrzywdzonej jakoby przez „złą" królową Bonę małżonki Zygmunta. Pod tym względem wielbiciele i wielbicielki Barbary poszły za modelem pięknej królowej, stworzonym przez Alojzego Felińskiego. Pseudoklasyczny dramaturg w swojej tragedii „Barbara Radziwiłłówna" wyidealizował Barbarę jako heroinę na koturnach. I to się podobało szerokiej publiczności! Podobało się i dawniej (tragedia Felińskiego po triumfach na deskach Teatru Narodowego w 1817 roku przeszła na inne sceny i stała się kamieniem węgielnym repertuaru teatralnego), i podobało naszej współczesnej łódzkiej publiczności, czego dowodem był sukces jaki odniosła sztuka na scenie Państwowego Teatru Nowego, osiągając rekordową liczbę ponad 100 przedstawień i przyciągając widzów z różnych środowisk, które na ogół nie mają zwyczaju chodzić regularnie do teatru.

Natomiast u historyków Barbara nie miała „dobrej prasy". Potępiali ją Kolankowski i Pociecha, zaś Władysław Konopczyński pisał wręcz, że (król) „Zygmunt jeszcze za życia Elżbiety dał się opętać wdziękom urodziwej i cudzej, nie na wskroś zepsutej Litwinki, przez którą Radziwiłłowie, a mianowicie brat jej Mikołaj „Rudy" i bratanek Mikołaj „Czarny" zamierzali najpierw wyrobić sobie zwrot rewindykowanych przez Bonę ogromnych królewszczyzn, a następnie trząść niepodzielnie Litwą, i nawet wpływać na sprawy koronne. Mogliż biskupi przyjąć bez zgorszenia poczęte w grzechu małżeństwo króla, mogłaż Bona uznać za synową kobietę, która jej odebrała serce jedynaka, opanowała jego zmysły, i podcinała jego moralne jestestwo". Mocno powiedziane: — podcinała jego moralne jestestwo!

Współcześni Barbarze kronikarze staropolscy jeszcze bardziej szkodzili reputacji „zepsutej Litwinki": *„Zygmunt August zakochał się w Barbarze, która prowadziła się niemoralnie... Królowa — jego matka (Bona) i jego siostry, Księżniczki, są zgorszone i uważają to małżeństwo za dyshonor dla „Królewskiego Domu". Bona jest bliska rozpaczy na myśl, że osławiona kurtyzana ośmieli się, być może, pretendować do tronu polskiego jako królowa — żona Zygmunta Augusta.* — Tak pisał duchowny Gracjani (tłum. z fran.)

O co w tym wszystkim chodzi? — zapytuje zdumiony Czytelnik. Dlaczego tyle oburzenia i hałasu z powodu małżeństwa ostatniego z Jagiellonów z białogłową (jak by powiedzieli sarmaci.) która — bądź co bądź była córką wielkiego hetmana litewskiego i kanclerza w jednej osobie, Jerzego Radziwiłła?

Odpowiedź na to pytanie — w następnym felietonie.

AKTUALNOŚCI POLSKIE

Bogdan Baer jako Tarielkin
Fot. G. Puciato

ZBIGNIEW NIENACKI

Wędrówki po scenach

„SPRAWA"

Na myśl o spektaklu „Sprawy" Suchowo-Kobylina w Teatrze Nowym ogarniają mnie bardzo sprzeczne uczucia. Nie opuszcza mnie wrażenie, że byłem w naprawdę wielkim TEATRZE, oglądałem kawałek prawdziwie wielkiej sztuki i wielkiego aktorstwa. Lecz jednocześnie nie potrafię pozbyć się sądu, że ne wolno mi zaakceptować tej sztuki w całości, nie można pominąć uproszczeń, które ona zawiera, nie należy afirmować wizji świata, jaką nam ona przynosi.

„Sprawa" Suchowo-Kobylina to satyra, to chwilami groteska przewrotna i wyrafinowana, niekiedy brutalna, sięgająca dna, makabryczna, przedstawiająca nam świat ludzi odczłowieczonych, zwierzęcych. „Sprawa" Suchowo-Kobylina, choć napisana tak dawno, jest nowoczesna w tym znaczeniu, w jakim współczesny autor pojmuje współczesny dramat, w którym farsa ma prawo sąsiadować z sentymentalizmem, satyra z liryzmem. I gdzie przy pomocy ludzi i postaci mówi się o sprawach i stosunkach międzyludzkich. W tym pojęciu — nie o ludziach, lecz właśnie o sprawach i o stosunkach między ludźmi opowiada nam teatr Dürrenmatta, o sprawach i stosunkach między ludźmi mówi teatr Becketta. Suchowo-Kobylina „Sprawa" jest więc na pewno prekursorska i ze względu na swą formę wydaje się bliższa nam, niż chyba współczesnym. Oddalają nas od niej tylko jej uproszczenia, jej obyczajowość już bardzo dla nas umarła, a może nawet śmieszna.

Czy może naprawdę wzruszyć współczesnego widza rozpacz starego Muromskiego, który traci cały majątek, aby uchronić swą córkę przed badaniem... ginekologicznym? Wiemy o czasach, które odeszły, czytaliśmy o obyczajach ludzi dawnych epok, rozumiemy jak zmieniły się pojęcia honoru i czci, lecz trudno o wzruszenie tam, gdzie w afirmacji sztuki pomagać musi tylko rozum i wiedza: sprawa przedstawiona w „Sprawie" przestała być dla nas sprawą, ginekolog jest przyjacielem domu.

Ale przypadek panny Lidki Muromskiej jest u Suchowo-Kobylina tylko pretekstem dla ugodzenia w aparat urzędniczy Rosji carskiej, dla zdarcia zasłony, za którą widać pajęczą sieć biurokracji, a na tej sieci kołyszące się pająki, przeokropne owady ludzkie czyhające na ofiarę, nieopatrznie zaplątaną w nastawione przez nich sidła. Rosję carską — powiada Suchowo-Kobylin — gubi kasta urzędników, którzy zamieszkali w pałacach, gdy ziemiaństwo zepchnięto do wynajętych pokoi. Piętnuje więc Suchowo-Kobylin łapówkarstwo, ujawnia zwierzęcą chciwość i bezwzględność aparatu państwowego dawnej Rosji.

„Sprawa" była sztuką odważną, śmiałą, walczącą. Zdejmując czapkę przed tym orężem, jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że wiedza to niepełna i niedoskonała; carska Rosja musiała się rozpaść nie dlatego, że ziemiaństwo zepchnięto do pokojów, a w pałacach zamieszkali urzędnicy-łapówkarze. Tragedie Muromskich nie odegrały żadnego znaczenia. Prawie cała literatura polska przeniknięta jest tkliwością dla podupadających szlacheckich dworków, gdzie podobno wciąż jeszcze krzewiły się przeróżne polskie cnoty i zachowały dobre obyczaje, i gdzie pozostawano w nieustannym strachu przed sekwestratorem. Jest to literatura o marginesie prawdziwie wielkich spraw, dlatego tak mało daje się już z niej czytać, a jeszcze mniej można wystawić.

„Sprawa" Suchowo-Kobylina nie zawiera żadnych treściowych pokrewieństw z czasami nam współczesnymi, choć łapówkarze-urzędnicy istnieją i w naszych czasach. „Sprawa" nie jest także matką „Łaźni" Majakowskiego, choć tu i tam godzi się w „czynowników". Być może każdy z nas i dziś natknie się na Warrawina, istota spraw pozostaje jednak krańcowo odmienna. Piszę to pod adresem tych wszystkich, co we wszystkim gotowi są szukać współczesnych aluzji. Oczywiście zastanawiać się można, czemu przypisać renesans Suchowo-Kobylina właśnie na scenach łódzkich. (wszak niedawno oglądaliśmy w Teatrze 7.15 „Śmierć Tarielkina"). Można się więc zastanawiać, choć chyba nie warto, ponieważ inscenizacja Bohdana Korzeniewskiego i wybitne aktorstwo Emila Karewicza, Bogdana Baera i Ignacego Machowskiego stworzyły spektakl po prostu znakomity. Zbyt rzadko trafiają się Łodzi tak dobrze zagrane sztuki, można się więc wybrzydzać, ale nie za bardzo.

Adaptacja ogromnej kobyły Suchowo-Kobylina, jaką dokonał Korzeniewski — wydaje się bardzo celna. Uchronił nas Korzeniewski przed wieloma literackimi dłużyznami, przenosząc część akcji na proscenium nadał sztuce bieg szybszy i bardziej strawny. Mimo to przedstawienie jest w dalszym ciągu za długie, a przez to za ciężkie. Trzeba naprawdę wielkiej siły fizycznej, aby przesiedzieć półtorej godziny na drugim akcie. Szkoda, że Korzeniewski nie poszedł jeszcze dalej w swej adaptacji, uważam, że bez żadnej szkody można było okroić sztukę o role Nielkina, o Annę Atuiewę, ba, nawet o Lidkę Muromską, wszak nie ona jest bohaterką sztuki, lecz jej „sprawa". Narrator, którego wprowadzono na początku przedstawienia, mógłby doskonale opowiedzieć nam to wszystko, co działo się w domu Muromskich.

Doskonała scenografia Andrzeja Stopki, te zielenie i brązy tak przepięknie harmonizują na scenie, ta biurokratyczna drabina tak zmyślnie i wspaniale podkreślona przez dekoracje, ten tłum urzędników jakby anonimowy, a jednocześnie tak zróżnicowany — wszystko to bardzo celowo i właściwie uwypukliło ideę sztuki Suchowo-Kobylina. Nie wszystko oczywiście „wystrzeliło", jak na przykład owa spadająca z góry sieć, która oznaczać miała ponoć dwugłowego orła — symbol władzy carskiej, a o której nie wiedzieć co myśleć, bo jest mało przejrzysta.

A na tym imponującym tle — Warrawin czyli Emil Karewicz. Warrawin ponury, Warrawin jak straszliwy Moloch, jak Baal gotów schwycić ofiarę i wyssać z niej każdą kroplę krwi. Jest ten Warrawin imponujący i przerażający zarazem. Imponujący przez wielkość swej nadludzkiej chciwości, przez swą bezwzględność i spryt. Czymże okazuje się przy nim Kandyd Tarielkin? Malutką pluskwą, malutką weszką, malutkim łotrzykiem, pijawką wobec ośmiornicy. Bogdan Baer jako Tarielkin jeszcze raz udowodnił, że jest wspaniałym aktorem, jego aktorstwo w niektórych partiach sztuki sięga, moim zdaniem, mistrzostwa. Groźna, ponura, zwierzęca twarz Warrawina jeszcze ciągle tkwi mi w pamięci, tak jak chichot Tarielkina oszukanego, Tarielkina zmiażdżonego — brzęczy mi ciągle w uszach. To był prawdziwy pokaz sztuki aktorskiej — tak rzadko teraz spotykanej — oglądać razem Karewicza, Baera i Machowskiego. Ten jako Ważna Osoba był żałosny i śmieszny, był patologiczny i niesamowity, przewrotny i wyrafinowanie okropny. Miażdżyli nas każdym słowem, każdym gestem spychali nas na dno zwątpienia o człowieku, napawali grozą dlatego, że byli tak różni, a tak jednocześnie podobni przez zło, które cechowało stworzone przez nich postacie. Uzupełniał ich doskonale Seweryn Butrym jako Nader Ważna Osoba. Był to wprawdzie tylko epizod, lecz przecież jeszcze raz udowodnione zostało, że doskonały aktor nawet drobnej scence potrafi nadać prawdziwie wysoką rangę. Od czasu „Obrony Sokratesa" nie widziałem jeszcze tak dobrego Butryma.

Doskonałą sztukę zaprezentowali również i aktorzy z „drugiego planu", tworząc ciekawie zarysowane typy urzędników (Konrad Łaszewski, Janusz Kubicki, Sławomir Misiurewicz, Adam Daniewicz, Witold Zatorski, Marian Stanisławski, Edward Wichura). Marian Nowicki w roli Piotra Muromskiego potrafił wzruszyć, umiał uzyskać pełnię sympatię widowni; był naiwny, bezradny i szczery w chwilach oburzenia, był tragiczny i nieszczęśliwy, choć może zbyt naiwny, zbyt słodki. Ale taką postać nakreślił Suchowo-Kobylin, deklaratywny i nieprzekonywujący, gdy wypadło mu dobro przeciwstawić złu. Zresztą, tak już chyba jest, że pozytywne postacie słabiej się rysują na scenie. Dlatego także chyba nie znalazła dla siebie tekstu Wanda Jakubińska, Maria Górecka i Tadeusz Minc. Wdzięczniejszą postać do odegrania miał Zygmunt Malawski i stworzył bardzo dobrego, charakterystycznego Iwana Razuwajewa. To samo myślę o Ludwiku Benoit w roli Iwana Żywca. Słabszy wydał mi się Wojciech Pilarski jako autor czy narrator. Wspomnieć także należy o Stanisławie Skolimowskim w roli woźnego urzędu.

Tak więc znakomite aktorstwo, ciekawa inscenizacja i bardzo interesująca scenografia czynią ze „Sprawy" duże wydarzenie kulturalne w naszym mieście. Nie należy go jednak przyjmować bez zastrzeżeń, a winne są temu uproszczenia zawarte w samym materiale sztuki.

Emil Karewicz i Ignacy Machowski w „Sprawie"
Fot. G. Puciato

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

Życie cyrku czy cyrk życia?

„Oho — powie o autorze niniejszego felietonu czytelnik — pewno mu się pogorszyło. W zeszłym tygodniu pisał, że „cały świat gra komedię", a teraz przyrównuje życie do cyrku.

No i czytelnik, jak zwykle, będzie miał rację. Rzeczywiście nasunęło mi się to banalne przyrównanie życia do cyrku przy lekturze doskonałych „Wspomnień klowna". Niewielka ta książeczka ukazała się w księgarniach w ostatnich dniach, a napisana została z wdziękiem i polotem literackim urodzonego gawędziarza przez największego dziś cyrkowca w Polsce, słynnego Din-Dona, którego właściwe nazwisko brzmi: Edward Manc.

Ponieważ słowo „cyrkowiec" według niesłusznej opinii ogółu ma znaczenie raczej pejoratywne, autor w swoich wspomnieniach nazywa zawodowych wyczynowców cyrku bardziej nobliwym słowem „artysta", chociaż w każdym cyrkowcu więcej jest sportowca, niż artysty. Ale lojalnie trzeba przyznać, że jakkolwiek często się spotyka wybitnego sportowca bez krzty artysty, to jednak trudno sobie wyobrazić najskromniejszego bodaj cyrkowca, który by w jakimś sensie nie był zarazem artystą.

Wynika to zwłaszcza z całą oczywistością ze wspomnień Din-Dona. Ostatecznie można by te sprawę ująć w ten sposób: **cyrkowiec to dusza artysty w ciele sportowca.** Dowodzi tego każdą swoją stronicą urocza książka Edwarda Manca, który sam jest żywym tego i naocznym dowodem. Jego książka, to mówiąc słowami autora — „opowieść o życiu i pracy cyrku, o jego historii w Polsce, o słynnych artystach areny i ludziach cyrku, o doli i niedoli cyrkowej braci, o cieniach i blaskach wędrownej muzy".

Właściwe dzieje cyrku w Polsce rozpoczynają się na dobre dopiero od momentu pobrania się Manca z Pinclówną, to znaczy ojca Din-Dona, który był klownem pierwszego założyciela cyrku Adama Pincla, to znaczy dziadka ze strony matki obecnego Edwarda Manca, autora książki. Zresztą nie chce jej streszczać i pozbawiać czytelnika rozkoszy lektury, która jest naprawdę zabawna i pouczająca.

Cyrkowcy mają w sobie coś z cyganów. Aura niespokojnej romantyczności gna ich niecierpliwie z miasta do miasta, a nawet z kraju do kraju. Nigdzie nie doznają spokoju i zadowolenia, prócz tych chwil, kiedy występują wobec tysięcznych tłumów na arenie cyrku. I żebyż to czynili dla zysku? Gdzież tam! Owszem gonią za powodzeniem, które im daje nieraz pokaźne dochody, ale tylko po to, żeby je zaraz w sposób jak najbardziej nieopatrzny i lekkomyślny utracić i zmarnotrawić. To ostatecznie nie pogoń za zyskiem tak gna ich po świecie, lecz ambicja wyżycia się w swoich wyczynach, głód uznania, oklasków i sławy — typowy głód każdego urodzonego, to znaczy niezdolnego do niczego innego, prócz wyrażania samego siebie, artysty.

Czym więc jest dla nich cyrk? Powiedzieć, że jedynie warsztatem i miejscem pracy zarobkowej, byłoby to minąć się z prawdą. Cyrk dla nich to jak by symboliczna miniatura życia, soczewka geniuszu ludzkiego, wyrażającego się nie tylko w najdoskonalszej sprawności ciała, ale przede wszystkim w najprecyzyjniejszej dominacji ducha, to znaczy ambicji i marzeń, nad ciałem. Potęga woli cyrkowców dokonywa cudu nad fizycznymi właściwościami ludzkiej natury i przekracza jego normalne granice naocznie w obecności wielotysięcznych świadków, kwitujących aplauzem entuzjazmu każdą finezję i dezaprobatą milczenia każdą dewiację. W znaczeniu szerszym cyrk to pewna filozofia życia. Wyraża się ona nie tylko w akrobatycznych gestach i wyczynach, w prestidigitatorskich sztuczkach i kuglarstwach, w nabieraniach jednych przez drugich, tak nagminnie stosowanych w życiu na rozmaitych polach działalności ludzkiej, w mirażach i szarlataństwach, tumaniących złudą tego, czego nie ma, w magicznych nieprawdopodobieństwach i trickach, ale także w specyficznym dowcipie słownym, w przewrotnej liryce kpiny i wygłupu.

Cyrk jako sztuka apeluje do najbardziej prymitywnych, ale jeszcze ludzkich, instynktów i odczuć najszerszych mas, dociera do zapomnianych i pogardzanych przez oficjalnie uznane i nobliwe formy sztuki peryferie ludzkie — w cyrku znajduje swe pocieszenie i odświetne wzniesienie ducha najbardziej zamknięta i niedostępna wszelkim innym formom artystycznego oddziaływania nędza ludzka, ubóstwo intelektualne, nikłość umysłowa. Cyrk dociera do tych najdalszych i najskrytszych zakamarków wegetacji ludzkiej, gdzie panuje gruby mrok, i rozdmuchuje tam iskierkę ludzkiego wzruszenia, ciepło sympatii, światło zachwytu, budząc wiarę w inne jeszcze, niż jałowa przeciętność, możliwości człowieka.

Swoiste utwory ulotnej muzy cyrkowej mają własną, godną wnikliwszej uwagi, filozofię. Posłuchajmy choćby takiej strofy autorstwa samego Din-Dona:

„Życie niełatwe. Życie wciąż
Problemy stwarza nowe.
Człek by odpowiedź znaleźć rad —
Lecz ma za małą głowę.
Pytanie trochę dziwne jest —
Lecz może kto odpowie:
Czy tu jest cyrk? Czy życie cyrk?
Gdzie jest ten cyrk,
panowie?"

Wygłoszone ze środka oświetlonej przez jupitery areny wobec wielotysięcznego tłumu te pytania brzmią nieledwie jak patetyczne frazy z szekspirowskiego „Hamleta". Tekst literacko marny, ale jakiż inny doskonalszy dotarłby do świadomości cyrkowego tłumu? I obudził w nim zamyślenie o życiu? W tym uogólnieniu zamyślenie par excellence filozoficzne! I jakże zawsze i wszędzie aktualne!

Cyrkowcy, ci prawdziwi „lekarze depresji", mają swój specyficzny język, nie zawsze zrozumiały dla profanów. Jego rozszyfrowanie nie zawsze świadczy o stopniu wtajemniczenia w tę dziwną profesję i modus vivendi, których niecodzienną treść wyraża właśnie odrębne słownictwo. Kto z przeciętnych zjadaczy chleba wie, co znaczą słowa: szpicto, łowiter, uniformista, bambuk? Na własną terminologię zdobywały się jedynie ściśle dyscypliny poszczególnych nauk, doktryny religijne, filozoficzne, ideologie społeczne i polityczne. Ktoś mógłby dodać, że także różnego rodzaju tajne związki, masonerie, klany złodziejskie i dintojry bandyckie — ale byłby to tylko kiepski żart z okazji rzeczy poważnej. Dość wspomnieć, że z cyrku jako ze źródła inspiracji i odnowy zaczerpnęła niejedna ze sztuk: teatr, kino, operetka, rewia. Wielki Charlie Chaplin wyszedł przecież cały z cyrku, zawdzięcza mu niego Stefan Jaracz, narodziły się w nim słynne swego czasu siostry Halama.

A teraz na zakończenie niech już będzie to basso profundo z kotłami: nie kto inny, tylko sam Joseph Conrad patrzył na życie jak na nieprzerwane widowisko cyrkowe. I z takiego patrzenia na życie i widzenia świata wysnuł swą wielką sztukę, stworzył jedno z najpiękniejszych dzieł w literaturze. Oto jaki jest według niego cel sztuki: „Zatrzymać na chwilę ręce zajęte przyziemną pracą, zmusić ludzi urzeczonych wizją dalekich celów, aby na chwilę spojrzeli na dziejące się przed nimi widowisko, sprawić, by zatrzymali się na jeden rzut oka, na westchnienie, na uśmiech — oto cel trudny i niepochwytny, przeznaczony do osiągnięcia tylko nielicznym. Oto cała prawda życia: chwila widzenia, westchnienie, uśmiech i powrót do wieczystego spokoju".

To przecież zasadnicza, że tak powiem, ideologia cyrku.

RENDEZ-VOUS z Vilarem

w relacji Barbary Horawianki – aktorki Teatru Nowego w Łodzi

— Naprawdę miałam trochę szczęścia! Na tegorocznym festiwalu, organizowanym przez Théatre National Populaire czyli Teatr Vilara w Avignonie, byłam przedstawicielką teatralnej Łodzi. Ogółem nasza ekipa liczyła 8 osób. Pojechaliśmy do Avignonu na koszt Ministerstwa Kultury i Sztuki, a na zaproszenie TNP. Avignońskie, coroczne festiwale (ten był piętnastym z kolei) są jedną z form popularyzacji teatru, którą to działalność Jean Vilar uprawia z pasją, konsekwencją i — dobrymi wynikami, zarówno w paryskiej siedzibie teatru, w Palais du Chaillot, jak i poza nią. W oryginale nazwa festiwalu brzmi: „Rencontres Internationales de Jeunes e Avignon" czyli Międzynarodowy Zlot Młodzieży w Avignonie. I rzeczywiście. Gros uczestników festiwalu stanowiła młodzież, przeważnie ze szkół średnich, przybyła 20—30-osobowymi grupami z 40 krajów świata. „Dorośli", będący jednocześnie zawodowcami w dziedzinie teatru, zjechali jedynie z Polski, Węgier, Czechosłowacji i Jugosławii.

— Vilar stawia więc na młodzież...

— W wypadku avignońskiej imprezy na pewno. Wydaje mi się jednak, że tę młodzież, którą Vilar tak bardzo pragnie tu oczarować magią teatru, interesuje nie artystyczna a techniczna strona festiwalowych spektakli. Bowiem spośród spotkań uczestników festiwalu z Vilarem, aktorami TNP i pracownikami technicznymi teatru, największe powodzenie u młodzieży, zwłaszcza amerykańskiej, miały te ostatnie. „Najludniej było i najwięcej dociekliwych pytań zadano na spotkaniu z... elektrykami. Widocznie młodzież, zastanawiając się nad wyborem przyszłego zawodu i ten bierze poważnie pod uwagę, a może obecna młodzież nastawiona jest bardziej „politechnicznie" niż romantycznie... Jakakolwiek była jednak przyczyna tego zjawiska, Vilar czuł się zapewne nieco rozczarowany. On sam, na spotkaniach z nami, mówił natomiast wiele o historii i zadaniach swego teatru, który nazywa się, i jest rzeczywiście Narodowym Teatrem Ludowym. TNP jest jedynym teatrem paryskim obsługującym francuską prowincję, mającym swoją własną siałą i szeroką publiczność, rekrutującą się przede wszystkim z urzędników, rzemieślników i robotników. I dającym przy tym tej publiczności repertuar w najlepszym gatunku. Nic dziwnego, że Vilar jest powszechnie uwielbiany, szanowany, czczony. Dzięki temu, prawdopodobnie, nienajciekawsze pozycje TNP, jakie nam zaprezentowano w Avignonie, były przyjmowane owacyjnie. Dużą rolę w spotęgowaniu entuzjazmu odegrała zapewne obecność „tubylców" i licznych francuskich turystów.

— Repertuar festiwalu?

— Trochę... dziwny. Ani jednej pozycji francuskiego autora. W ciągu siedmiu dni (festiwal trwa dni 14 i obsługuje dwie grupy uczestników) pokazano nam na dziedzińcu papieskiego pałacu, na tle starych murów, „Gbury" Goldoniego, „Alkada z Zalamei" Calderona i „Antygonę" Sofoklesa.

Vilar mówił nam również o swym systemie pracy z aktorami. Otóż nie uznaje on zupełnie prób czytanych, analitycznych. Przystępując do pracy nad nową pozycją rozdaje role aktorom, które są obowiązani opanować pamięciowo w przeciągu dwóch tygodni, oraz wypracować sobie na ich temat własne koncepcje. Po upływie dwóch tygodni Vilar od razu „wchodzi na scenę", rozpoczyna próby sytuacyjne, jednocześnie konfrontując swoje koncepcje ról z koncepcjami aktorów. Dekorację w dalszym ciągu ogranicza do niezbędnych rekwizytorów, kładąc główny nacisk na kształt i barwę kostiumów oraz operowanie światłami. W Avignonie słynne Vilarowskie kotary zastąpiły poczerniałe mury starego zamczyska.

Ale poza spektaklami i spotkaniami z członkami zespołu TNP mieliśmy i inne atrakcje — zwiedzanie samego Avignonu i wycieczki w jego okolice, w głąb słonecznej, przepięknej Prowancji. Niezapomniany jest dla mnie wieczór poezji francuskiej, przygotowany dla nas przez aktorów TNP, który odbył się w miasteczku Le Baux, w grotach skalnych, przy blasku pochodni. Ale my również musieliśmy się „czymś wykazać". Nasza polska grupa podczas uroczystego zakończenia festiwalu odtańczyła ognistego mazura i odśpiewała kilka piosenek z „Kramu z piosenkami". Na brak aplauzu nie mogliśmy narzekać.

—A potem

— Potem był Paryż, gdzie zamieszkałam w małym hoteliku na wyspie św. Ludwika, w cieniu katedry Notre Dame. Ale to już na własny rachunek... Całą naszą polską grupą łaziliśmy po wyludnionych z powodu urlopów i algierskich niepokojów ulicach paryskich, zwiedzaliśmy niezliczone muzea, żywiliśmy się, ze względów zrozumiałych, prawie wyłącznie, serami, owocami i... winem, które jest tu tańsze od wody mineralnej. W teatrze byliśmy tylko raz, na „Łysej śpiewaczce" i „Lekcji" Ionesco, które to dwie sztuki idą razem w małym teatrzyku ze stu osobową widownią. Świetne przedstawienie! Inne teatry były, niestety, nieczynne. Warto może dodać, że bilet do teatru w Paryżu kosztuje tyle ile para butów.

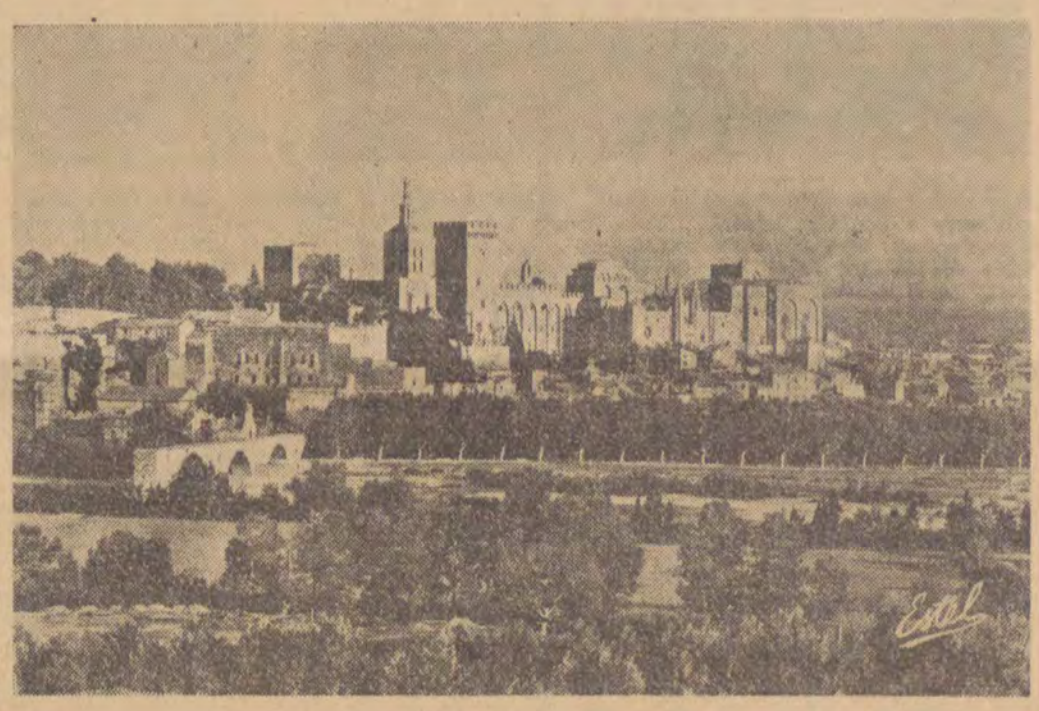

Pałac papieski w Avignonie, w którym odbywają się festiwale teatru Vilara

Co nowego w Paryżu?

W pierwszych dniach października odbyła się w „Theatre Montparnasse" premiera nowej sztuki J. Anouilh'a „Grota". W roli Autora występuje J. Le Poulain, kluczową zaś postać sztuki – Marie – Jeanne odtwarza Lila Kedrova:

Podać w formie skondensowanej treść sztuki niepodobna. „Grota" nie jest sztuką gotową i jest tak zagmatwana, że każda próba jej streszczenia byłaby daremna" — pisze J. Anouilh. Zagmatwanie to jednak wydaje się nieco sztuczne i nieistotne, wynika ono jedynie z tak rzadkiej w teatrze interwencji autora, człowieka w krawacie i bez makijażu w sceniczny świat wyobraźni.

Akt pierwszy: błyskotliwy monolog Autora tudzież prezentacja postaci. Poza tym pustka. Akt drugi: tu dopiero wychodzi na jaw talent Anouilh'a. Świat wyobraźni się buntuje, chce żyć własne życie, człowiek w krawacie odchodzi w cień kulisów. Na scenie rozgrywa się dramat. Dramat, w którym nie ma „dobrych ludzi" – wszyscy są bezlitośni lub słabi.

Mimo niewątpliwych walorów artystycznych trudno zaliczyć „Grotę" w poczet najlepszych sztuk Anouilh'a. Trudno ją porównywać ze „Skowronkiem" czy z „Becket czyli honor Boga" poprzednio wystawianym w tym samym teatrze.

Gdy jeden z aktorów opowiada – dość błyskotliwą zresztą – anegdotę, wciąż obecny na scenie Autor rzuca: „Co za beznadziejny dowcip! Rozumiem teraz, dlaczego jestem ceniony przede wszystkim za granicą: tych dowcipów nie potrafią przetłumaczyć".

W oczekiwaniu zatem na bardziej entuzjastyczne krytyki

STANISŁAW STANWIŚNIEWSKI

INFORMACJE i ZACZEPKI

Pani Maria Nalepińska zaleca w „Głosie Robotniczym" na wszelkie językowe wątpliwości poradnik „Jak mówić i pisać poprawnie" wydany przez Wiedzę Powszechną. Ponieważ mieliśmy wątpliwości, sięgnęliśmy do niego. Poradnik – owszem, owszem. Autor – Maria Nalepińska.

* * *

Solistka Opery Łódzkiej Zofia Rudnicka otrzymała na Międzynarodowym Konkursie Wokalistów w Tuluzie II nagrodę. Gratulujemy.

* * *

Niedawno pewien warszawski pisarz spotkał się z łódzkimi czytelnikami. Streścił kilka przeprowadzonych z nim wywiadów, przeczytał 4 felietony i to wszystko. Spotkanie trwało niecałą godzinę. Jak to dobrze być pisarzem warszawskim.

* * *

Prawie 3 i pół miliarda złotych wyniosą w przyszłym roku kredyty na budownictwo spółdzielcze i indywidualne.

* * *

Jak się dowiedzieliśmy z łódzkich gazet, przedostatnie spotkanie z piosenką „uświetnił występ Alicji Zomer". Hm, może istotnie uświetnił, ale jakiego określenia użyto by wobec tego w wypadku przyjazdu Dalidy?

* * *

W szkołach średnich podstawowych i przedszkolach naszego miasta pracuje około 6 tysięcy nauczycieli, a zatem co 117-ty łodzianin wykonuje ten piękny zawód.

* * *

Łódzki Dom Kultury zorganizował ostatnio... szkołę dla narzeczonych. Wykłady odbywać się będą raz w tygodniu przez dłuższy chyba czas, bo program przewiduje zarówno zajęcia z psychologii, prawa, socjologii jak i np. gotowania. Niektórzy twierdzą, że chodzi tu po prostu o to, aby dać nieszczęsnym desperatom czas do namysłu.

* * *

Hasło „By Łódź nam pięknniała" znajduje szeroki oddźwięk wśród młodzieży naszego miasta. Np. około 3 tysięcy ZMS-owców Polesia zadeklarowało wykonanie prac o wartości ponad 300 tys. zł.

* * *

Już pięć lat istnieje Studencki Dyskusyjny Klub Filmowy, w którym oprócz obejrzenia interesujących filmów wysłuchać można ciekawych prelekcji z historii filmu, uczestniczyć w dyskusjach, w spotkaniach z aktorami itp. Ciekawi tych spraw niech skontaktują się z „Klubem Studentów Łodzi", Piotrkowska 77.

* * *

Około 700 tytułów zgromadzono w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki na wystawie książki radzieckiej. Dużą atrakcją wystawy był kiermasz, na którym można było kupić interesujące wydawnictwa z wszystkich niemal dziedzin.

* * *

„Nareszcie będziemy mieli dosyć wody sodowej" – pisze jedna z łódzkich gazet z okazji otwarcia nowej wytwórni wód gazowych. Znamy to, znamy. Całą zimę czytać będziemy tego typu zapowiedzi i jak zawsze latem wody będzie brak.

J.W.

KOCO RACIN

ZBIERACZE TYTONIU

Na zimnej wadze mosiądzem ważą,
ale czy mogą kiedyś odważyć
żółty nasz tytoń — tę naszą mękę,
żółty nasz pot.
Od późnych zmierzchów do wczesnych ranków,
czasu letniego w chłodne wieczory
głodny wysysa tęsknotę naszą
i krew wypija i ciało nasze.
Sam żółty — twarze żółci nam blade
i żółtą sieje w płucach zarazę.
Po rannej rosie, po brzasku świeżym
zgarbieni chyłkiem na polach ojców
my go zbieramy.
Liść każdy zerwij,
liść każdy podaj,
liść każdy przyciśnij, przewróć.
liść każdy ułóż czule i tęsknie
i na sznur kropel twojego potu
długi nadzieją zatrutych przekleństw,
z bielmem wysiłku na oczach mętnych
po kruchych liściach żółtawozłotych
bajkę o życiu gorzkim bez szczęścia
niższe bezgłośną, a taką jasną.
Ty nie znasz tego?
A dzień gdy przyjdzie, żeby go zmierzyć —
miara za mała i nieustannie
w płucach cię dławi i końca nie ma.
Nie smutek, ale przekleństwo,
a z oczu mętnych, wbrew twojej woli,
furia wyziera.

KOCO RACIN (1908—1941) Garncarz, poeta, rewolucjonista. Autor zbiorków poetyckich „Beli mugri" („Białe świty") i „Vatromet" („Miotacz ognia" w jęz. serbskim) niedokończonej powieści „Afion" („Mak"), kilku nowel i wielu prac krytycznych i publicystycznych. Spośród jego utworów największą popularnością cieszą się „Zbieracze tytoniu".

Tłumaczył z macedońskiego Wł. Pianko

BŁAŻE KONESKI

PIEŚŃ

Śpiewaj mi, śpiewaj
tę cudowną pieśń.
Najpierw mi śpiewa,
a potem mówi:
„To coś powiedział
i to coś stworzył
nie jest przypadkiem,
nie zna przebaczeń".

BŁAŻE KONESKI (ur. 1921). Największy językoznawca macedoński i kodyfikator macedońskiego języka literackiego (1945 r.) jest także jednym z najpopularniejszych poetów współczesnych. Wydał dwa zbiory poezji: „Pesni" („Wiersze") i „Vezilka" („Hafciarka"), poemat „Most" oraz zbiór opowiadań „Łozje" („Winnica").

ACO SZOPOW

ROZSTANIE

Nie, nim ruszy statek z głuchej przystani
i pozostawisz ciemne oliwki,
jeśli poczujesz gdzieś w lat burzanie
jak zwolna więdnie i ginie wszystko —

Nie, to nie będzie zwykłe rozstanie
i jedna młodość przebyta, pusta,
ono przylgnie do mocnych ramion
jakiejś przełęczy przyszłej, nieznanej.

ACO SZOPOW (ur. 1923). Autor kilku zbiorów poezji (m. in. „Pesni" — „Wiersze", „So nasite dłanki" — „Naszymi dłońmi"; „Pesni za tagata i radiosta" — „Wiersze o smutku i radości" i in.). Jeden z najbardziej znanych poetów.

Dalszy ciąg ze str. 1

starszy liczy sobie osiemdziesiąt trzy lata, a nazywa się Józef Muzol. Muzol mieszka w Domu Rencisty. Jest to taki nowy dom dla starych ludzi, którzy są bardzo wrażliwi na punkcie nazwy miejsca swego zamieszkania i bardzo się gniewają, gdy powiedzieć, że mieszkają w Domu Starców. To są renciści, a nie starcy. Kiedyś Muzola odwiedziła sąsiadka i zaczęła ubolewać, że na stare lata przyszło mu dogorywać w przytułku. I wiecie co Muzol zrobił? Wyłoił babie skórę za ten przytułek i za to ubolewanie.

Dom Rencisty choć ma dwa piętra nie jest już teraz najwyższym domem w tej parterowej dzielnicy, zdy stansował go gmach szkolny, równy wysokości wieży małego kościoła pod wezwaniem Opatrzności Bożej.

Szkoła i kościół to nie tylko dwa najwyższe budynki w dzielnicy, ale i najważniejsze. Mają one piekielny wpływ — jeśli „piekielny" może odnosić się do kościoła — na życie umysłowe i duchowe tych pięciu tysięcy obywateli albo dusz".

Następnym interlokutorem był stary emerytowany urzędnik, który wiózł akurat w dziecięcym wózku wiadro wody z publicznej studni. Na Marysinie znajdują się rury wodociągowe ale całkowitej kanalizacji brak. Oddajmy jednak głos mieszkańcowi, on lepiej od reportera wie co i jak: „Jest to, jak pan sam widzi, dzielnica domków jednorodzinnych, dzielnica mieszkalna w stylu małomiasteczkowym, tak pod względem urbanistycznym jak i obyczajowości. W 1949 roku przy solidarnej pomocy społecznej zbudowano tory linii tramwajowej, co automatycznie spowodowało wzrost rangi całej okolicy, dalszy rozwój osadnictwa i dalszą rozbudowę oraz wzrost ceny placów budowlanych. Jednak budowa murowanych domków jednorodzinnych w przeciwieństwie do drewnianych jakie stawiano przed wojną rozpoczęła się na dobre zaledwie przed pięcioma laty. Bo to już tak jest, że gdy państwo prowadzi politykę dużych inwestycji, to społeczeństwo dużo konsumuje, a jak państwo zaczyna robić rewizję inwestycji, to wtedy społeczeństwo zaczyna inwestować. Na Marysinie można z łatwością sprawdzić, że to co powiadam jest prawdą. Taki Michał Paciorkowski, tramwajarz, któremu drewniana chałupa ojca zupełnie się rozpadła przeniósł się do komórki i w ciągu dwóch lat postawił w tym samym miejscu murowany budynek. Co prawda oboje z żoną pracują i każde z nich otrzymało po piętnaście tysięcy bezzwrotnej pożyczki od swych zakładów pracy, sześćdziesiąt tysięcy wzięli z banku, a dwadzieścia tysięcy żona dostała w spadku po matce. W komórce przez te dwa lata było trochę ciasnawo, ale świętej pamięci ojciec Michała, który kupił ten plac od Romana Heintzla, budował swój drewniak przecież jedenaście lat. A przez ten cały czas mieszkał w ziemiance z darni.

MRÓWKI

Wiele ludzi przed wojną mieszkało na Marysinie w „darninach": Były to przeważnie rodziny wielodzietne, które nie potrafiły podołać wysokim czynszom jakie wyciskali z nich właściciele smrodliwych kamienic. Komornik, ta przeklęta postać, był niemal członkiem rodziny, z mieszkania nie wychodził, a jak wyszedł to szybko wracał ale nie sam, z policjantem. Miasto wyrzucało ich z sobie, spychało na peryferie. Osiedlali się na Marysinie za torem, jak jeszcze toru nie było. Tu nic wtedy nie było tylko skamieniałe pola i darnina, z której można było zbudować bieda-domek, spłacać raty Heintzlowi za plac, znosić kamienie pod fundament i składać pieniądze na budulec. Ich kapitałem zakładowym były ręce do pracy i nadzieja, która stwardniałym dłoniom dodawała sił. To byli ludzie bogaci, każdy z nich posiadał przecież na własność kawałek kuli ziemskiej. Gorzej było z tymi co dali się wyeksmitować i szli mieszkać pod mur kirchola. Ci już nie mieli nadziei, błagali Boga o zdrowie i łagodną zimę, a między modlitwą i kłótnią rozwozili po podwórkach piasek za łupiny. Łupiny sprzedawali gospodarzom z Łagiewnik i Strykowa. Ich obdarte dzieci przeskakiwały mur kirchola i profanowały kości umarłych Izraelitów. Rabini tłumaczyli wtedy zmartwionym wyznawcom że kości Izraela wracają do ziemi swych ojców. Rabini kłamali, bo „gdzie wytoczono krew Jego krwi, ta ziemia na wieki Jego jest".

Mówi mieszkaniec ulicy Morelowej: „Ta dzielnica nie wypadła sroce spod ogona. Tutaj się mieszka, mieszka się pełną gębą, a do roboty zaś jeździ się tramwajem w te i wefte. Codziennie rano jadę „ósemkę" lub „szesnastką", a po fajerancie powrót. Tramwaj to wielkie dobrodziejstwo, które nie tylko my odczuliśmy, co własnymi rękami dla niego żeśmy tor zbudowali. Ale jego ważność pojął także w lot exbaron Heintzel, kiedyś właściciel całości, a dziś jedynie posiadacz kilku drobnych, zagubionych parcel, którymi szachruje do teraz. Więcej nie powiem. Niech się pan gdzie indziej dowie".

Człowiek z branży pokrewnej, czyli sprzedawca kiosku „Ruchu":

„Na Marysinie mieszkają niemal sami robotnicy, przeważnie włókniarze i tramwajarze, kilku właścicieli warsztatów mechanicznych, paru furmanów i dorożkarzy, kilkunastu urzędników niższych stopni, inżynierowie oraz nauczyciele. Ogółem inteligencji jest jakieś pięć procent, reszta pracownicy fizyczni. W moim kiosku sprzedaję około dziesięciu egzemplarzy „Odgłosów", jeden egzemplarz „Przeglądu Kulturalnego" i dwa egzemplarze „Nowej Kultury". Największą poczytnością cieszą się natomiast „Dookoła Świata" i „Nowa Wieś", a z gazet codziennych „Express Ilustrowany". Podobno bibliotekarki punktu bibliotecznego też zasypiają tak jak i ja podczas pracy i nikt ich nie budzi. Pod koniec miesiąca poczytność prasy codziennej gwałtownie maleje. Bo widzi pan, Marysin to dzielnica, gdzie mieszkają ludzie oszczędni i pracowici, co spełniają prace podłe i zaszczytne. I choćby w mieście byli sprzedawcami warzyw czy dorożkarzami, to kiedy wrócą do swoich czterech własnych ścian są obywatelami. A jeśli własnych ścian nie mają, to choćby w mieście byli generałami to tutaj w osiedlu nie są obywatelami. Obywatel od nieobywatela różni się tym, że posiada własny dom, z ogródkiem. I tak jest na Marysinie trzecim co powstał z konieczności, i tak jest na Marysinie drugim co powstał z wyboru".

Mądry człowiek z tej dzielnicy spotkany na przystanku tramwajowym powiedział: „Na Marysinie zaczęli się osiedlać w latach trzydziestych ludzie, w których odezwał się zew przodków. Bo łódzka klasa robotnicza nie wywodzi się ani z zdeklasowanego mieszczaństwa ani z rzemieślników podgrodzia, tylko z biednego chłopstwa tych okolic. I stąd też chyba z taką łatwością zasymilowało się w tym mieście w ciągu piętnastu powojennych lat ponad ćwierć miliona chłopów. U nas robotnicy biją się o ogródki działkowe i niech się pan temu nie dziwi. Marysin jest ideałem łódzkiego proletariusza. Ludzie się stamtąd nie wyprowadzają".

Ponad dwadzieścia starszych osób, które zapytałem czy wolałyby mieszkać w jakiejś innej dzielnicy odpowiedziało mi przecząco.

Działacz partyjny z Komitetu Dzielnicowego na Bałutach, historyk-amator:

„Skarlałe widmo kapitalizmu krąży po Marysinie i kiedy się ściemni, to wieczny wierzyciel zachodzi do swoich dłużników, powołuje się na sumienie, Boga i prawo i rości do nich pretensje. To widmo to exbaron Heintzel, który za pa-

czasu aż do dnia dzisiejszego Roman powoli i systematycznie upłynniał odziedziczoną własność. Zmienił tylko swego pełnomocnika.

— Przedtem sprzedawał za weksle, teraz za gotówkę. A o Marysinie nadal wyraża się jako o swej własności i czeka aż na Rogach powstanie osiedle, wówczas da znać o sobie. Heintzel jest systematyczny i cierpliwy. W okresie międzywojennym zezwolił, ażeby Marysin zelektryfikowano, a później kazał sobie płacić od każdego słupa wkopanego w jego grunty dwadzieścia złotych rocznie. Mieszkańcy go przeklinali, ale haracz płacili. Pamiętam, towarzyszu, jak w czterdziestym piątym przyszła do mnie pewna elegancka paniusia w futrze i Heintzel, primo voto hrabina przedstawiła się de domo Rzewuska, secundo voto baronowa Fisoher, iż została zmuszona do czyszczenia wychodków. Odpowiedziałem jej wtedy, że przypominam ją sobie.

— A czy może pan bywał u nas na balach? — zapytała.

— Nie — odpowiedziałem. Byłem jedynie w parku i spotykałem tam panią.

— O to był piękny park, bardzo go kochałam — odezwała się z melancholią.

— Jeździła pani konno po tym parku — dodałem.

O tak! — przytaknęła skwapliwie.

— Pamiętam, pewnego razu, miała pani w ręku piękną szpicrutę Jechała pani stępa kucykiem, a stara kobieta z małym synkiem przeszła wtedy drogę. Z całej siły trzasnęła ją pani szpicrutą w twarz. To była moja matka".

Z Romanem Heintzlem umówiłem się na spotkanie w kawiarni. Przyjechał właśnie z Zakopanego. Oddajmy i jemu głos po sprawiedliwości:

„Marysin otrzymałem od swego papy. O, to jest moja dzielnica, to ja ją stworzyłem. Gdybym tam dzisiaj poszedł i powiedział, że nie mam gdzie mieszkać każdy by mnie przyjął. Mnie tam dobrze wszyscy znają. W czasie wojny byłem w Warszawie. Proszę? Pyta pan po której stronie? Ależ to nietakt. Czuję się Polakiem, choć w moich żyłach płynie czysta krew germańska, i w każdej chwili mogę się pozbawić o austriackie obywatelstwo.

Proszę pana, co oni tam teraz wyrabiają na tych Rogach. Przecież oni w ogóle nie potrafią budować domów. Ach, och!"

Tramwajarz z ulicy Warszawskiej: „O, to nie był zbyt dobry człowiek. Jak plac od niego kupowałem, to mnie na sto złotych okantował. Co? Co pan mówił? To on jeszcze żyje? Pan wie, że ojciec Heintzla zabił podobno człowieka z dubeltówki dlatego, że pasł krowy w jego lesie. A gajowego co spuścił psy na nasze dzieci ludzie wrzucili do mrowiska i gadziny mu oczy wyżarły".

Późnym wieczorem wracałem z Marysina, słońce już dawno zaszło i człowiek w czarnych okularach zniknął ze swego posterunku przed domem. Zrezygnowany zajrzałem na koniec do prywatnego baru pani Kucinowej. W środku było pusto i tylko nad żółtym kuflem piwa siedział jeden, jedyny gość — w czarnym okularach.

Drogi Czytelniku, bądź cierpliwy i wysłuchaj do końca i tego monologu. Choć Bogiem, a prawdą to nie był monolog, ale przecież nie mój tu dzisiaj głos jest ważny.

— Pamiętam — zaczął ślepiec — był sierpniowy poranek. I sępy co pod skrzydłami złamane niosły krzyże kołowały nad struchlałą ziemią. Przeklęta ta ziemia, ale nie wolno jej przeklinać. Kiedy nadeszła noc przyszli ludzie w czarnych opończach, z trupimi czaszkami na otokach, mieli twarze hycli i myszkowali po kircholu, szukając żywych wśród umarłych. Od tamtego czasu zniknęło obozowisko spod cmentarnego muru, a na Bałuckim Rynku ludzie słyszeli paciorki strzałów. Zapach krwi spłynął z zapachem krochmalu do nieba i wtedy podobno Bóg opuścił ziemię. Pod murem kirchola zostały stare łachy, a w nich pchły żżerały wszy, a potem tylko popiół został, a jeszcze potem nawet popiołu nie było i tylko na straży został granatowy policjant Majchrzak, który starał się jak mógł. Po wojnie przyszli do Majchrzaka dwaj przedstawiciele nowej władzy i jeden z nich zapytał jego żony:

— Gdzie mąż?

— Na Dołach — odpowiedziała żona.

— No, to ma szczęście — odpowiedział i dodał — umarłym się zapomina, a żywym przebacza, ale nie zapomina. Tylko ziemi trzeba przebaczyć, bo ona wszystko przebaczyła — ziemia jest źródłem przebaczenia. Człowiek należy do ziemi i za to ziemia jest jego własnością — jest źródłem przebaczenia.

Długo siedziałem ze ślepcem przy stole, ale on już potem milczał. Zdjął tylko okulary i dostrzegłem oczy ze zżartymi źrenicami. Mrówki?

KAROL BADZIAK

STANISŁAW KASZYŃSKI

NAGRODA NOBLA 1961

Moje spotkanie z Ivo Andriciem

Tak się jakoś stało, że tuż przed wyjazdem do Jugosławii wpadł mi do ręki świeżo wydany tom opowiadań Andricia „Pragnienie". Czytanie nie szło mi gładko. Na poły egzotyczne przygody dalekich Bośniaków nie bardzo mnie wzruszały, notowałem tylko realia aby w oczach moich przyszłych gospodarzy nie uchodzić za barbarzyńcę. Ale Belgrad wessał mnie w swój wir tak, że zapomniałem zrazu o Bośni i o pisarzu, który wprowadził ją w okolice poezji. W życiu jesteśmy stale przedmiotem niespodzianek, bo oto tak się jakoś stało, że mój przyjaciel pochodził stamtąd. I kiedy odwiedzaliśmy małe, zadymione kafejki o ostrej woni pieczonej papryki i rakiji i siedząc nad „lutą" słuchaliśmy zniewalających melodii znad Driny, jego ziemia stała mi się bliższa. Już wiedziałem, że pójdę do Andricia. Uprzedzano, że to nie takie proste. Niechętnie daje wywiady, to w ogóle trudna sprawa. Odważyłem się. Do lokalu Związku Literatów wszedłem z duszą na ramieniu, choć miałem przyrzeczoną rozmowę, a w zanadrzu nieco arcymądrych pytań.

Wytworny, skupiony, sprężony jakąś wewnętrzną energią, ciepłem, zamyśleniem — tak zobaczyłem Ivo Andricia. Dopiero później, w trakcie rozmowy uświadomiłem sobie, że ów gest zaproszenia i pierwsze słowa pisarza otworzyły mu jakby wspomnienia stamtąd, z Polski. Prosił, abym wyłącznie mówił po polsku. Odpowiadał po serbsku, tłumacząc się zresztą brakiem wprawy w polszczyźnie, rozumiał jednak mnie znakomicie. Nie stawiałem przygotowanych pytań. Moja ciekawość, co sądzi o obecnych szansach opowiadania, którego jest mistrzem czy o najmłodszej generacji poetyckiej wydała mi się niestosowna i pretensjonalna. Andrić zaczął mówić o Krakowie! Nie oddam blasku tych zdań, ich rytmu i barwy. Tak rejestruje się to, co zostało w płaszczyźnie wspomnienia. Czasem zdawało mi się, iż ów Kraków sprzed pierwszej wojny światowej Andrić oglądał oczyma Wyspiańskiego, który kąpiący się nad Wisłą rekrutów austriackich malował w zbrojach greckich hoplitów, czasem z tej kolorowej wizji wyprowadzał jakąś kamieniczkę, ulicę, fontannę z dziewczynami, wiewiórki na plantach. Oto Andrić wspomina swoich kolegów z uczelni, już bez nazwisk, opisuje czyjąś twarz i natychmiast przyznaje, że wszystko jedynie się ostało w obsesyjnym wrażeniu. A jednak — powtarza to wielokrotnie — po wspaniałym Wiedniu, Kraków urzekł mnie bardziej.

Namawiam teraz Andricia, by odwiedził to miasto. Nie odpowiada wprost. Domyślam się: może nie warto wracać, jeśli wierzymy w bezsens czy daremność wszelkich powtórzeń. Próbuję zagadnąć pisarza o jego twórczość. Interesuje mnie ta wierność twórcy wobec rodzinnej Bośni, to namiętne zafascynowanie, podobnie jak u Faulknera, skrawkiem ziemi, jej przeszłością i legendą, z których wyczarował tak sugestywny mit. Wiem, że dla Andricia jest to „rzeczywista rzeczywistość". I w lot chwytam, dlaczego trudno o tym mówić. Mówimy o krytykach. To zamiast odpowiedzi. Andrić częstuje mnie zabawną historyjką o krytyku, który jasność prozy wyprowadzał z tego, iż pisarz tworzy podczas dnia. Krytycy są dość bezradni w odkrywaniu czy choćby śledzeniu pewnych zależności. Trudno wskazać na wszystkie motywy inspiracji, które w procesie twórczym odkształcają się w nowych zestawieniach i wartościach.

Nikt z krytyków, mówi Andrić, nie dostrzegł ani też nie domyśla się w moich rzeczach tego nieuchwytnego promieniowania polskiej poezji romantycznej. Bardzo często odczuwam potrzebę sięgnięcia po Mickiewicza, a zwłaszcza Krasińskiego, których mam na podręcznej półce. Wystarczy odczytanie kilku linijek.

Nagroda Nobla, którą otrzymał Ivo Andrić jest wysokim wyróżnieniem dla całej literatury jugosławiańskiej. Ale bez wątpienia jest przede wszystkim wyrazem uznania indywidualności pisarskiej i wielkiej sztuki słowa, które, jak pisał Andrić, „wyzwala z chaosu, jaki nas otacza".

BA gatelki

Tym razem problem wca- niebagatelny i nie skła- jący bynajmniej do filu- rnego stylu i dowcipów. yślimy o nim niestety zbyt ęsto, aby się czasem nie stanowić głębiej. Przycho- zą i odchodzą... Rzecz w m, że częściej odchodzą i ecz w tym, kto przycho- zi.

Nie tak dawno prasa po- gnała Henryka Czyża — ego kierownika artystycz ego Filharmonii Łódzkiej, dnego z najlepszych pol ich dyrygentów, zanego ompozytora, ulubieńca łódz ej publiczności. Wieść minna niesie, że wkrótce entyczną smutną uroczys- ość urządzimy na cześć o- ejścia Kazimierza Dejmka, łowieka teatru, którego azwisko od kilkunastu lat rośnięte było z Łodzią, zna omitego reżysera, twórcę ielu inscenizacji które przej ą do historii teatru. Jak ówi wieść na razie nieofi- alnia emigruje do Warsza- y. Nie ma potrzeby piętr- enia tutaj nazwisk tych, tórzy opuścili nasze mias- to — wszyscy, którym spra- wy życia kulturalnego na- szego miasta są bliskie, pa- miętają tych ludzi. Urośli w Łodzi w sławę, a następ- nie ją porzucili. Pisarze, a- ktorzy, muzycy i plastycy. Wcale nie zamierzam stać się jednym z mędrców Apo- kalipsy i malować obraz o- pustoszenia i wyniszczenia naszego miasta. Zapewne wy rosną nowe sławy i przynaj- mniej w części zastąpią tych, którzy odeszli i którzy dzi- siaj odchodzą, Ale warto chyba rozpatrzyć szczegóło- wo sprawę tych odejść i za- stanowić się jak zahamować ten szkodliwy odpływ. Sta- liśmy się ostrożni. Rok temu z szumem witaliśmy na sta- nowisku kierownika artys- tycznego Opery Antoniego Majaka. Majak stworzył dwie na pewno wybitne choć niezbyt wychodzące z konwencji „operowej" in- scenizacje i.... już nie jest kierownikiem artystycznym, Przyszedł Zygmunt Lato- szewski świetny dyrygent zajmujący się operą od lat trzydziestu. Zabrakło fanfar triumfalnych — właśnie z tego względu — staliśmy się ostrożni. Co jest ze wszech miar niepożądane ale od cze- go sami nie możemy się u- wolnić.

MAW

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O kłopotach z rodzicami powiedzieli nam:

Mariusz T., lat dziewiętnaście, uczeń XI klasy.

Trudno mi powiedzieć coś konkretnego, w zasadzie nie można im nic zarzucić. Troszczą się, jeść dają. Czasem tylko ciężko się z nimi dogadać. Zwłaszcza, je żeli chodzi o takie sprawy jak religia czy osobiste za- interesowania. Są bardzo wierzący i nie mogą zro- zumieć, że można nie wie- rzyć. Nie można im wy- tłumaczyć, że to rzecz nor malna. Fakt, że nie cho- dzę do kościoła, uważają za coś gorszącego. Nie sta- ram się przekonywać ro- dziców, bo wiem że to bez- skuteczne. Mają swoje za- sady, żyją w innym świe- cie.

Krystyna W., uczennica X klasy, lat szesnaście.

Moi starzy są przeckropni. W ogóle nie można dojść z nimi do ładu. Nic tylko ciągle „tego nie, tam tego nie", albo „w moim wieku to było nie do po- myślenia". Zapom'nają że tamte czasy dawno min'ły. A zresztą w młodości sami chyba byli nielepsi. Wolel- iby na pewno żebym była jak nafiręcona lalka – cią- gle w domu przy odrabia- niu lekcji i bezustannie „tak mamo, tak tato". Nie mogę się doczekać chwili, kiedy się usamodzielnię i będę miała spokój.

Kazimierz B., XI klasa, lat osiemnaście.

Nie mogę zrozumieć, co to znaczy „konflikt poko- leń". Wydaje mi się, że to zależy w dużej mierze od starszych. Mój ojciec (je- stem półsierotą) był i jest dla mnie wzorem. Jego kul tura, jego styl bycia i in- teligencja zawsze mi im- ponują. Nigdy na mnie nie krzyczał, jeśli zrobiłem coś złego, a tylko wytłumaczył i dał wskazówki jak postę- pować w podobnych wy- padkach. Nie było jeszcze takiego przypadku, w któ- rym nie doszlibyśmy do porozumienia. Uważam, że wielu nieporozumień mię- dzy rodzicami a dziećmi można by uniknąć gdyby i jedna i druga strona wyka zały odrobinę dobrej woli i poszły na pewne ustęp- stwa.

Rozmawiał: ŁUW

Rys. L. Golec

FRASZKA TYGODNIA

HENRYK JAGODZIŃSKI

Łódzkie rozrywki

Tę modlitwę sobie cenię:
„Nie Łódź nas na pokuszenie".

Drodzy fraszkopisarze!

Jesteśmy wzruszeni oszałamiającą mnogością fraszek, które nam nadsyłacie. W ciągu niewielu dni wpłynęło na adres redakcji ok. 150 płodów dobrego humoru i dobrej woli. Nie zrażaj cie się faktem, że nazwisko Wasze nie ujrzało jeszcze światła dziennego. Piszcie! Przysyłajcie!! Konkurs trwa! Ale miarą zainteresowania społeczeństwa naszym konkursem są nie tylko fraszki; jest nią również lawina listów. Jeden z nich drukujemy poniżej jako przykład postawy prawdziwie oby- watelskiej. Brawo!

„Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

z głębokim wzruszeniem przeczytałem w „Odgłosach" zapowiedź Nieustającego Konkursu na Fraszkę.

Zmobilizowanie do tej akcji jak najszerszych rzesz społeczeństwa, stroniącego dotychczas niefrasobliwie od działalności pisarskiej, wydaje mi się pomysłem ponad wszelką miarę genialnym. — Nareszcie stworzona została trybuna, z której niewątpliwie już — że tak powiem — od jutra, zaczną strzelać race dowcipu i fajerwerki budującej satyry, ujętej w zwięzłą i jakże łatwą formę fraszek.

Ja sam — przekonany bez reszty ideologicznymi uza- saanieniami Konkursu — zachęcony lapidarnymi wa- runkami tej pięknej impre- zy, i (nie ukrywam), skru- szony wizją ujrzenia w druku moich nieudolnych płodów — chwyciłem czym prędzej za pióro; aby już w najbliższy czwartek zmie- rzyć się w szlachetnej wal- ce o tytuł najlepszego.

Sądzę, że z zainteresowa- nie przeczytał Pan próbną serię fraszek, jaką pozwoli- łem sobie przesłać na Pana ręce natychmiast po prze- czytaniu wezwania. — Frasz ki, będące niejako o d g ł o- s e m spraw, dziejących się na Pana, Panie Redaktorze, — i moim podwórku.

A oto kilka dalszych pro- pozycji — zgodnie z warun- kami — na kartkach poczto wych.

Trudno, Panie Redaktorze! — Kto raz zacznie...

Z wysokim poważaniem

BONAWENTURA

PIÓRKIEM po aktualnościach

Żyjemy w epoce haseł i akcji. Niedawno w skle- pach łódzkich wywieszono hasło: „Klient ma rację". No dobrze... A jeżeli jej nie ma?

* * *

„Express Ilustrowany" drukuje nową powieść ry- sunkową pod znamiennym tytułem: „Najdziksze ser- ca".
Nasze najwyższe uznanie!

* * *

Uroczystości ślubne, któ- re odbywają się w Urzę- dzie Stanu Cywilnego przy Alejach Kościuszki, urozmaicone są odtwarzaniem okolicznościowych melodii: nowożeńcy wysłuchują naj- pierw „Ave Maria", a za- raz potem arii „Twoim jest serce me..."
Ten zestaw muzyczny wy daje nam się niekompletny, i dlatego proponujemy włą- czyć do niego jeszcze je- dną piosenkę. Może być np. „Brzydula i rudziel- ec..."

* * *

Jak doniosła prasa, w Sta nach Zjednoczonych zakaz- ano sprzedaży akcji towa- rzystwu, które zajmowało się budową latającego ta- lerza do podróży między- planetarnych. Ostatnio to- warzystwo odwołało próbę uruchomienia tego pojazdu. Jak stwierdził prokurator, powodem odwołania próby było to, iż talerz po prostu nie mógł latać.
Okazuje się, że Polacy są bardziej praktyczni. Kiedy pewien warszawiak sprze dał tramwaj chłopu ze wsi, nikt nie mógł mu przy najmniej zarzucić, że ten tramwaj nie jeździ.

* * *

Słodycze lubią nie tylko dzieci, zjadają je również łapczywie dorośli. A po- tem? Potem obracają bez myślnie w rękach papier ki po cukierkach bądź o- pakowania po herbatni- kach. I nagle oczy osoby dorosłej zaczynają czytać:
Numer normy jakościo- wej „taki to a taki", skład mąka ziemniaczana, tłusz- cze roślinne, świeża wani- liana, olejki, środki spul- chniające, barwniki jadal- ne...
Osoba dorosła zaczyna się krztusić. Dobrze, jeśli ma poczucie humoru, to wtedy krztusi się ze śmie- chu. Gorzej natomiast, gdy osoba ma usposobienie re- fleksyjne: wtedy zaczyna się zastanawiać, jakie mo- że być działanie środków spulchniających na człowie ka? I czy barwniki pójdą jej na zdrowie? Nawet u- względniając fakt, że są to barwniki jadalne.

T G-r

Nasza KRZYŻÓWKA

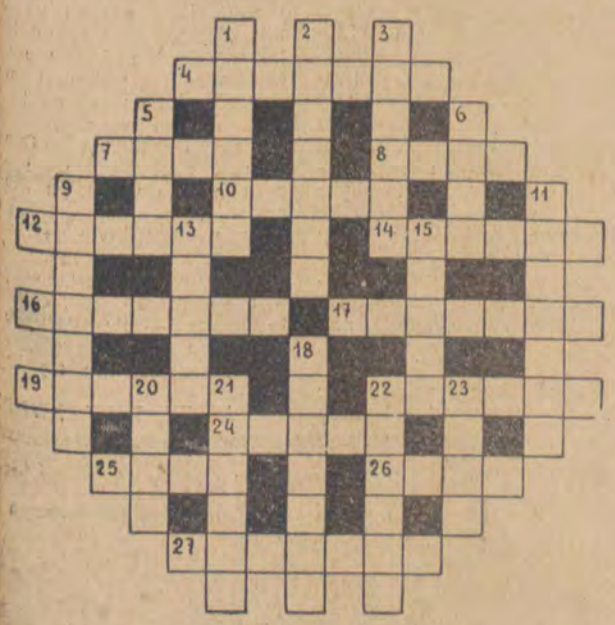

Znaczenie wyrazów:
POZIOMO — 4) kwiat, roślina cebulkowa z rodziny liliowatych, 7) Miasto powiatowe w województwie olsztyńskim, 8) Miara długości, 10) Karnawałowa defilada ozdobionych i ukwieconych pojazdów, 12) Figura w akrobacji lotniczej, 14) Słodycz, 16) Pierwiastek chemiczny o liczbie atomowej 51; 17) Worek, 19) Uszkodzenie, 22) Kolejowa, klimatyczna, doświadczalna, 24) Kawon, 25) Przeciwieństwo poziomu, 26) Cząstka materii, 27) Wielka po dłużna sala przeznaczona na wystawę dzieł sztuki.
PIONOWO — 1) jelito, 2) Szuwar, 3) Zegar słoneczny, 5) Rodzaj atramentu lub natrysk, 6) Zbocze góry, 9) Zakole rzeczne, 11) Żart, 13) Człowiek wywołujący śmiech swoim zachowaniem, 15) Skutek, wynik, rezultat czegoś, 18) Stołek, 20) Imię męskie, 21) Metal ciężki, trudno topliwy, 22) Kolor ciemnoniebieski, 23) Wyspa koralowa w kształcie pierścienia.
Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.
Rozwiązanie krzyżówki z nr 38
POZIOMO — Lehar, geografia, krzew, siano, kontakt, Francuz, Bartosz, metylen, Urban, kawał, konkluzja, swada.
PIONOWO — herbata, lelek, limit, dramaturg, anemograf, wolumen, skrawek, kafar, gazon, rywalka, mahoń, nacja.
Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:
1. Helena Potapow, Głowno k. Łowicza, ul Świerczewskiego 12 m. 6.
2. Antoni Sumper, Łódź, ul. Piotrkowska 189 m. 20.

ZAGADKA TYGODNIA

Znów zagadka literacka. Zadanie Czytelników nie będzie specjalnie trudne. Wystarczy do imion bohaterów znanych utworów literackich dopisać imiona ich sług. Aby jednak zagadka nie była zbyt prosta obok nazwisk panów i sług należy napisać jeszcze tytuł utworu w jakim oni występują oraz podać autora dzieła.

1) Hrabia Almaviva i .....
2) Hrabia Horeszko i .....
3) Cześnik i .....
4) Staś Tarkowski i .....

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać na adres: Łódź, Piotrkowska 96, „Odgłosy".

Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

Rozwiązanie z nr 41

Cztery były wyprawy Kolumba, dwu braci Grakhów, jedenastu polskich królów e- lekcyjnych i siedem cudów starożytności. Nagrodę otrzy- muje pan Henryk Gliński, Złoczew, ul. Sieradzka 62, pow. Sieradz.

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW "Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 3135 X L-4

JOLANTA MACH

Wybrańcy ludu

Objawem świadczącym, że telewizja w pewnym stopniu musi podporządkować się zaborczym dążeniom swoich widzów, są rozmowy o programie dyr. Pańskiego i red. Lecha Pijanowskiego; w Łodzi rozmowy takie próbują prowadzić dyr. Orłowski z red. Zdrojewskim.

Red. Pijanowski przyjął przy tym rzeczywiście rolę „wybrańca ludu", jest reprezentantem licznych szarych rzesz obywateli w tym najmniejszym dwuosobowym parlamencie świata.

Ten parlament — jak każdy parlament — jest prawie unormowaną formą ingerencji obywateli, a jego powstanie poprzedził ruch oddolny, spontaniczny, kierowany naturalną ideą demokracji. Ruchem oddolnym były i są telefony i listy widzów.

Obecnie, kiedy telewizja jest jeszcze dość „zielona" i próbuje dopiero wypracować sobie własną odrębność estetyczna — ta masowa spontaniczna ingerencja widzów w jej sprawy jest tym, co najbardziej wyróżnia ją spośród innych „sztuk". Telewizja prowokuje szarego człowieka do rządzenia. Wydaje mi się to zjawiskiem nieomal ze wszech miar pozytywnym.

Telewizja ma szanse stać się szkołą gospodarzy, szkołą tym cenniejszą, że zapisujemy się do niej spontanicznie, z potrzeby serca. Rzecz w tym tylko, żeby szkoła miała mądre kierownictwo, żeby nie zwąziła zapału, nie zniechęciła adeptów.

Oglądany przez tysiące widzów, kontrolowany czujnym okiem, najmniejszy parlament świata (parlament „programowy") musi też być parlamentem najuczciwszym. Tu nie wolno rzucać słów na wiatr ani, jak powiadają dzieci, „się migać". Obowiązują zasady fair-play, których przestrzegać trzeba dokładniej niż gdzie indziej. „Reprezentant ludu" musi zachować pełną niezawisłość i nie może stwarzać najmniejszych pozorów, iż działa we własnym interesie. Nie jest łatwo znaleźć takich przedstawicieli — nawet o jednego trudno, jak widzimy w „parlamencie łódzkim" w którym red. Zdrojewski jest własnym... krytykiem.

PROGRAM na najbliższe dni

Czwartek — 2. XI. 1961 r.

10.00 Program dla szkół: Język polski „Sofokles", „Dzieje dramatu. Reżyseria — Ludwik Rene (W). 10.30 PRZERWA. 17.55 Program dnia (Ł. lok.). 18.00 Program publicystyczny „Łódź 1965" (Ł. lok.). 18.15 Program dla dzieci: „Książki czekają na Ciebie" (W). 18.45 PKF (W). 18.55 „Sonata Appassionata" — Ludwika van Beethovena w wykon. Lidii Kozubkówny (fortepian) (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Byli tacy ludzie" (W). 20.30 „Krzyk" — film fabularny prod. włoskiej dozw. od lat 16 (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W).

Piątek — 3. XI. 1961 r.

17.10 Program dnia (Ł. lok.). 17.15 „Spojrzenia i opinie" (Ł. lok.). 17.45 Reklama (W). 17.50 „W obronie życia" — program publicystyczny (Katowice). 18.20 Film z serii „Mój koń" — „Księżniczka Tungstanu" (W). 18.50 Wszechnica TV: „No passaran" (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Młodzieżowy program publicystyczny (Kat.). 20.35 Teatr Telewizji Łódzkiej „Himmelkomando" Lebovica i Obrenovica, w tłumaczeniu Zygmunta Staborskiego. Reżyseria — Jerzy Antczak (Ł. ogólnopolski). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

Sobota — 4. XI. 1961 r.

10.00 Program dla szkół: „Zoologia" pt. „Niewidzialny świat" dla klas VI. (W). 10.30 PRZERWA. 16.50 Program dnia (Ł. lok.). 16.55 Teatrzyk „Violinek" (W). 17.30 „Król Maciuś I" — film fab. produkcji polskiej (dla dzieci) (W). 19.00 „Paragraf i fajka" przed kamerą dr Jerzy Sawicki (W). 19.15 Program Tygodnia (Ł. lok.). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Pegaz" — magazyn kulturalny (W). 20.35 „Człowiek, który nie wrócił" — film fab. prod. czechosłowackiej (W). 22.00 PKF (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W). 22.20 „Kabaret Starszych Panów" i program rozrywkowy (W).

Cieszymy się, ale i mamy pretensje

Cieszymy się oczywiście, że telewizja polska — przy naprawdę dobrym poziomie wizji — potrafiła przekazywać nam z Moskwy bezpośrednie sprawozdania filmowe z obrad XXII Zjazdu KPZR. Historyczne obrady tego wielkiego zgromadzenia stały się nam w ten sposób jeszcze bliższe, jeszcze bardziej naoczne.

Trudno jednak nie podpisać się obiema rękami pod uwagami, jakie zamieszcza na ten temat „Życie Literackie". Podpisany TH autor pisze:

„Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zjazd KPZR w Moskwie jak by „zaskoczył" polską telewizję, że zastał ją nie przygotowaną. Nie rozumiem na przykład dlaczego możemy transmitować komentarze red. Pawlaka z „siedziby ONZ", a nie (...) umiemy zorganizować na żywo, zaraz, dyskusji choć by nad sprawami właśnie ideowymi, oświetlanymi przez zjazd KPZR i nowy statut, dlaczego nie wyjaśniamy autorytatywnie skutków tych praktycznych i ideowo-politycznych dla naszego społeczeństwa.

Słowem — zbyt mało zajmowaliśmy się ideowym oddziaływaniem ekranu telewizyjnego zadowalając się „frontowo-narodowym" charakterem pracy ideowo-wychowawczej i propagandowej, zbyt wiele na wet może tłumaczyliśmy rzeczy oczywistych i zbyt usilnie przekonywaliśmy już przekonanych. Pora teraz zrobić krok następny".

Włochy

Telewizja włoska była ostatnio bardzo poważnie zaangażowana w organizację kolejnego festiwalu piosenki w Neapolu. Prezentujemy zdjęcie najlepszych wykonawców — uczestników festiwalu w którym zwyciężyli Betty Curtis i Rondine. Na zdjęciu od lewej stoją: Aurelio Fierro, Betty Curtis, Nelly Fieramonti, Gloria Christian, Luciano Virgili, Wanda Romanelli, Grazia Gresi, Carla Boni, Gino Latilla. Kiecza: Wilma de Angelis, Lucia Altieri, Gege di Giacomo. W pierwszym szeregu widzimy Johna Dorelli Rascela i Claudio Villa. Przytaczamy te nazwiska (no i zdjęcie) dlatego, że piosenkarze ci często śpiewają na falach Polskiego Radia i po prostu warto wiedzieć jak wyglądają.

Drugie również pochodzi z Włoch. Drugi program telewizji włoskiej nadający audycje rozrywkowe wiele uwagi poświęca baletowi, osobliwie zaś grotesce tanecznej.

Czechosłowacja

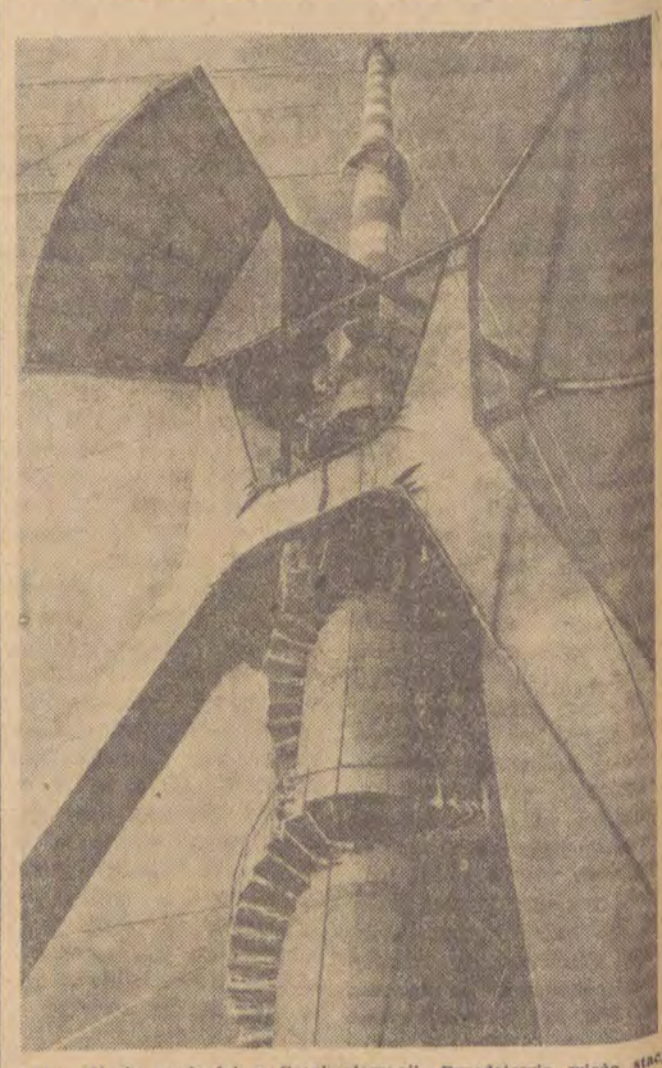

A to zdjęcie pochodzi z Czechosłowacji. Przedstawia wieżę stacji przekaźnikowej telewizji CSRS na wzgórzu Dubnik koło miasta Preszov. Przy okazji warto powiedzieć, że w tych dniach zakończono w NRD w miejscowości Zehlendorf budowę stalowej wieży radiowo-telewizyjnej o wysokości 351 metrów, a więc o 51 metrów wyższej od paryskiej wieży Eiffla. Składa się ta nowa wieża z 52 elementów, które ważą 148 ton

Jerzy Antczak zostaje w Łodzi

Wiadomość o przeniesieniu się Jerzego Antczaka — jednego z najciekawszych realizatorów telewizyjnych — do Warszawy, okazała się łagodnie mówiąc, przesadzona. Antczak zrealizował wprawdzie w ośrodku warszawskim „Zegarek" Jerzego Szaniawskiego, nie mniej nadal pozostaje na stanowisku głównego reżysera Ł.O.T.

Obecnie przygotowuje zresztą nową premierę — będzie nią „Himmelkomando" D. Lebovica i A. Obrenovica w adaptacji Władysława Orłowskiego.

Łódzki koncert solistów

Zanim zdążą nadejść ewentualne listy czytelników mówię „ewentualne", ponieważ wcale nie jestem pewien, czy dość szczegółowe problemy techniczne kogoś bliżej zainteresują, jeżeli — widać to z prasy — nie interesują nawet większości sprawozdawców spróbuję może sformułować kilka własnych uwag o łódzkim koncercie solistów.

Dobry był. Różnorodny, a jednak konsekwentny, stojący na bardzo wysokim poziomie wykonawczym. **Delfina Ambroziakowa** i **Andrzej Saciuk** — wokaliści, **Zenon Płoszaj**, — skrzypek, **Janina Niesobska** i **Eugeniusz Kowalczyk** — tancerze, **Edward Przyłęcki** — akompaniator — nikt z tej szóstki nie zawiódł naszych oczekiwań.

Trochę sporadiej wygląda od strony realizatorskiej; dobre, a często znakomite pomysły wydały się trochę niedopracowane, jak gdyby reżyserowi, a i operatorom, zabrakło jeszcze jednej pełnej próby kamerowej.

Dwa kapitalne, ujmowane trzy czwarte portrety Andrzeja Saciuka na pełnym zbliżeniu i to na zbliżeniu odważnie wytrzymanym przez dłuższy czas — popsute zostały przez wadliwe oświetlenie; zamiast oczu śpiewak miał — przepraszam za zwrot — ciemne oczodoły, a o to chyba nikomu nie chodziło.

Pionowe zasłonki z tiulu przy walcu z „Coppelii" — zaprojektowane przez scenografa **Jerzego Cieheckiego** — były wręcz znakomite, niesłychanie pomagały w tańcu, wzbogacały go, jedno tylko — upozowane zakończenie przy „wygaszaniu" kamery wydało mi się mdłe, psujące nastrój.

Przesadne były najazdy kamery w duecie wokalistów. Podobnie zjazd kamery z Sa[illegible]ciuka na akompaniatora nie był zjazdem, a raczej sfalowaniem — przypominał czkawkę. Zły był kostium do etiudy Skriabina — nieregularne plamy na spódniczce zamiast podkreślać, rozlewały kontur, zaciemniały sylwetę i wyrażanie pomyślany taniec wypadł w rezultacie słabiej, mniej przekonywująco, niż na próbach.

Mam pretensje do niektórych przebitek, do zwolnionego, „wypieszczonego" nakładania obrazu, do delektowania się dłońmi śpiewaków, bo to ujęcia troszkę „nie na temat" i nie z tego klimatu.

Obok powyższych, przyznaję, dość ostro formułowanych uwag, mam w swoim notesie długą listę komplementów. Szczególnie przy tańcu niektóre odjazdy kamer były — chciałoby się rzec — precyzyjne co milimetra, mieliśmy świetne ujęcia, doskonałe pomysły, jak przejście z oczu na [illegible] nie wykonawcy i tak dalej, tak dalej. Nie śmiem nudzić czytelnika przydługim wyliczaniem, śmiem jednak twierdzić, że ten wyreżyserowany przez **Kazimierza Oraczа** koncert miał pełne szanse przy jeszcze większym dopracowaniu, być koncertem naprawdę bezbłędnym.

To niby mała rzecz, [illegible] półgodzinny koncert, a jednak — proszę, zwróćcie na to uwagę, — ile istotnych w rezultacie drobiazgów, problemów za nim się kryje.

JERZY PANASEWICZ

Co piszą inni

Przyszłość telerecordingu

Telerecording — technika zapisywania widowiska telewizyjnego na zsynchronizowanych ze sobą taśmach filmowych (obraz) i magnetofonowej (dźwięk). Często się na niego krzywimy, a jednak ci, którzy opuścili jakąś interesującą pozycję bez telerecordingu nigdy by już jej nie mogli obejrzeć — lepszy więc telerecording, niż nic.

Na temat przyszłości tej techniki, interesujący artykuł TADEUSZA PSZCZÓŁKOWSKIEGO publikuje „Radio i Świat". Przede wszystkim dowiadujemy się, jak wygląda stan faktyczny — otóż, okazuje się, nie tylko mamy jedną jedyną aparaturę telerecordingu w Warszawie, ale...

„...nasza aparatura, a dokładniej kamera filmowa ustawiona przed ekranikiem specjalnego telewizora, ma tylko jedną szpulę i w wypadku dłuższego widowiska, na przykład trwającego ponad godzinę, nie można utrwalić jej jednym ciągiem — trzeba to zrobić „ na raty". Wtedy jedną część widowiska utrwala się na próbie generalnej, a drugą w czasie programu."

Dalej czytamy:

„...z taśm nakręconych w czasie nadawania programu nie można już wyciąć żadnych pomyłek. Chyba, że reżyser zdecyduje się na usunięcie całych fragmentów. A i wtedy nierzadko są trudności z utrzymaniem ciągłości dźwięku towarzyszącego obrazowi, na przykład w wypadku ilustracji muzycznej, która łączy poszczególne części widowiska. Dlatego najczęściej widowisko odtworzone z telerecordingu posiada wszystkie niedociągnięcia i usterki, jakie zdarzyły się w czasie telewizyjnej premiery."

Można jednak, jak wiadomo, postępować odwrotnie — zamiast nadawać program i ewentualnie go zapisywać, produkować go w postaci gotowych taśm. Tu jednak, zdaniem autora, obok gorszej jakości otrzymywanego obrazu, poważną przeszkodą jest brak koniecznej koncentracji psychicznej u wykonawców — mimo wszystko gdy program idzie na żywo, napięcie nerwowe jest znacznie większe.

Przy produkcji „konserw" a więc w każdej chwili gotowych do wykorzystania taśm, mógłby telerecoring...

„...zastąpić „ampex", utrwalający obraz na jednej taśmie magnetycznej. Ale wadą jego jest krótki okres przechowywania nagranej taśmy" — około pół roku — i trudności w montażu."

Wnioski autora brzmią:

„Niewątpliwie telerecording tego typu, jakim my obecnie rozporządzamy nie ma sensu dla innych celów, jak archiwalno-szkoleniowych. Potrzebny jest niewątpliwie „ampex" do utrwalania (a mowa jest na razie ciągle tylko o programach artystycznych) widowisk do szybkiego powtórzenia".

TELEwizja

ZBIGNIEW NIENACKI

Worek Judaszów

— Wpędziła mnie pani w tarapaty. Teraz nie mogę nocować u majorowej.

— Nie rozumiem pana... — zalotnie przymrużała oczy.

Nieduży pokój wypełniał wielki stół krawiecki i dwa manekiny ubrane w szynele oficerskie. Na stole jeżyły się poduszeczki ze szpilkami, skrawki materiałów i długie nożyce. Albert rzucił kapelusz na ramiona manekina, rozpiął płaszcz, czubkiem buta podsunął do stołu mały taborecik. Usiadł ciężko, wspierając głowę na piersiach.

— Nie rozumiem pana — powtórzyła.

Ziewnął. Potarł dłonią czoło, sięgnął do kieszeni po papierosy. Pudełko z papierosami i zapałki położył przed sobą na stole, uprzednio odgarnąwszy walające się skrawki materiałów. Zabłysła pod nimi lekarska strzykawka z resztą jakiegoś białawego płynu.

— Przyszedł pan spróbować przespać się ze mną? Czy też chodzi panu o coś innego?

— O coś innego.

— Ach tak?... To dobrze. Bo w sąsiednim pokoju śpi mój narzeczony. Mam go obudzić

— Jak pani uważa.

Przykucnęła. Zdjęła buciki i nałożyła domowe pantofelki. Cichutko na palcach weszła do drugiego pokoju. Wróciła z butelką koniaku i dwoma szklaneczkami.

— Napijemy się?

Rozlała koniak po równo do każdej szklanki jak wytrawny pijak.

— Ostatnio bez alkoholu ciężko mi zasnąć. Będę musiała rozpocząć leczenie — przyznała się bez najmniejszej żenady.

— Myślałem, że pani używa narkotyki.

— Zauważył pan strzykawkę? Mój narzeczony bierze morfinę. Był ranny, rana nie goi się, podobno strasznie go boli... Przygląda się pan mojej twarzy? O, kiedyś byłam ładna. Tak mi mówiono. Oparzyłam twarz. Banalna i nieoczekiwana historia. Zapaliła się benzyna, gdy nalewałam ją do baku w samochodzie. Stara historia, sprzed sześciu laty.

Teraz, gdy powiedziała mu, że była ładna, przyjrzał się jej twarzy i dostrzegł ślady tej urody mimo brzydkich czerwonych plam na policzkach i na czole. Te same plamy zaznaczały się również na jej dłoniach. Miała więcej niż trzydzieści lat. A może jeszcze mniej?

— Architekt... — bąknął Albert. Wypił koniak. Natychmiast zakręciło mu się w głowie.

— Majorowa nagadała mu o panu. On opowiedział mnie. Poszłam do majorowej w charakterze konsultanta... w pańskiej sprawie — zaśmiała się.

— Myślałem, że to pani... przyjaciel.

— Wbrew pozorom nie tak łatwo namówić mnie do grzechu. Kobieta z taką twarzą jak ja, ma kompleksy.

Wypiła swój koniak z wyraźnym wstrętem. Jak gorzkie lekarstwo.

— Architekt nagadał głupstw. Kto go o to prosił? Narobił nieocenionej szkody. To wszystko pani wina. Ale to wam nie ujdzie na sucho... język mu twardniał. Myślał jednak wciąż trzeźwo.

— Bądź spokojny. Włos ci z głowy nie spadnie.

— Głupstwa...

— Masz już opiekunów. Jesteś w dobrych rękach.

— Głupstwa... — pomrukiwał z pijackim uporem.

— Przysięgam ci — chwyciła go za rękę. Ścisnęła ją silnie, po męsku. Ponuro gapił się w pustą szklankę. Chwyciła jego rękę. Wskazała głową drugi pokój.

Ruszył za nią posłusznie.

— Oszukałam cię z tym narzeczonym. Tu nie ma nikogo. Bałam się, więc tak powiedziałam o nim...

Pchnęła go na tapczan. Zdawało się jej, że jest pijany. Pomogła mu się rozebrać. Zdjął palto, marynarkę. Ostrożnie odpięła pasek z pistoletem. Przy swych ustach miał jej włosy, zdawało mu się pachnące rumiankiem.

Obudził go dolatujący zza ściany terkot maszyn do szycia. W pokoju trwał półmrok późnego świtu. Uniósł ciężką od alkoholu głowę i rozejrzał się. Z radością stwierdził, że jest sam.

Obok tapczanu na krzesełku leżało równiutko ułożone jego ubranie, kapelusz przykrywał pistolet. Spojrzał na zegarek i zerwał się z pościeli. Minęła dwunasta w południe. To opuszczone w oknach żaluzje odgradzały pokój od dnia.

W miednicy na umywalce znalazł trochę czystej wody. W ustach miał wciąż smak alkoholu, męczyło go pragnienie. Odkrył drzwi prowadzące wprost na korytarz, terkot maszyny do szycia zagłuszył zgrzyt przekręcanego klucza. Niedostrzeżony przez nikogo wymknął się na ulicę i na chwilę aż oślepł od promieni słońca.

Był to pierwszy prawdziwie wiosenny dzień. Pachniało świeżością, koślawe bruki rynku tonęły w jaskrawym świetle. Nad dachami odrapanych domów niebo było przejrzyste i tak głębokie, że patrząc na szybujące daleko ptaki, doznawał zawrotu głowy. Słońce ukazywało brzydotę ruder, brudy rynsztoków, błoto, kurz na strupieszałych pnączach dzikiego wina. Ale Albert widział tylko błyski słońca w czysto wymytych szybach domów, młodziutką zieleń liści rzodkiewek na straganach. Po ulicy jechały rzędem beczkowozy z fekaliami, zalatywał fetor gnojówki, mały chłopiec gnał straszliwie chudą krowę. Były to jednak również znaki wiosny, przyjmował je bez niechęci, nastawiał twarz na ciepły podmuch wiatru.

Na rynku spostrzegł trzy ciężarowe samochody, a obok nich liczną grupkę przeważnie starszych mężczyzn ubranych w wybrudzone kombinezony. Zapewne byli to robotnicy z jedynej w N. fabryki, dość sporej garbarni. Nosili biało-czerwone opaski, a w dłoniach trzymali staroświeckie karabiny o długich lufach. Teraz próbowali ustawić się w dwuszeregu, ale szło im to bardzo niesprawnie. Wysoki, chudy porucznik w mundurze wojskowym pokrzykiwał na nich śmiesznym dyszkantem, głośno chichotała grupa dziewcząt przyglądających się przygotowaniom do odjazdu. Najpocieszniej wyglądał tęgi, czerwony na twarzy robociarz. Pas z ładownicą wciąż zjeżdżał mu na podbrzusze.

Ktoś wołał:

— Tego grubego nie bierzcie. W grubasa Rokita od razu trafi.

Albert pomyślał o ludziach Rokity, których widział w pociągu. Wyglądali na doskonale wyszkolonych, broń mieli nowoczesną, szybkostrzelną. Wystarczy, że ktoś powiadomi ich o trasie przejazdu tych trzech samochodów, a do miasteczka nie powróci żywy nie tylko ten grubas, ale i tamci, chudzi.

Wśród gapiów na ulicy zobaczył Albert człowieka w białym fartuchu. Tuż obok na niskim drewniaku wisiał szyld: „Fryzjer".

— Ogol mnie pan — Albert trącił ręką człowieka w fartuchu.

Fryzjer niechętnie poszedł do wnętrza zakładu. Zanim rozrobił mydło w niklowej miseczce i naostrzył brzytwę, Albert rzucił okiem do gazety porzuconej na murmurowym stoliku przed lustrem. Na pierwszej stronie gazety czerniały dwa duże nekrologi.

— Co to za jedni — zapytał Albert.

— Te facety w czarnych ramkach? Inżynierowie. Dwóch inżynierów kropnął Rokita przedwczoraj w lesie koło Dąbrowy.

— Inżynierów? Z Bezpieki? — udał naiwnego.

— Nie. Podobno koło Dąbrowy postanowiono zbudować wielką fabrykę łożysk kulkowych. Zresztą, może coś innego, nie wiem, nie mieszam się do polityki.

— To przecież nie polityka.

— Nie wiem, panie. Podobno ci inżynierowie przyjechali wybrać teren pod budowę. Kropnęli ich.

— I co?

— Nic. A pan... nietutejszy?

— Przyjechałem z Warszawy.

— Ja też jestem warszawiak, panie. Na Starówce mieszkałem. Do powstania. A teraz jestem tutaj. Ale do Warszawy wrócę. Jak Boga najszczerzej kocham. Niech się tam tylko trochę odbuduje, zaraz wracam. Fryzjer, panie, będzie potrzebny. W każdym ustroju, co nie? — zaśmiał się ze swojego dowcipu.

Albert mu wtórował. Już sama myśl rozważania przydatności fryzjera w ustroju socjalistycznym, wydawała mu się komiczna. Zachciało mu się kontynuować żart. Powiedział:

— Fryzjer, fryzjerowi nie równy. Zależy jakie pan masz pochodzenie.

— Pan widzę facet oblatany w tych rzeczach, co? — fryzjer przymrużył chytrze le we oko.

Albert roześmiał się głośno. Radował go własny śmiech. „Do licha, przecież ja od kilku dni nawet ani razu nie roześmiałem się" — pomyślał ze strachem.

Z ulicy doleciał ich ostry dźwięk klaksonów, a potem obok zakładu fryzjerskiego przejechały trzy wozy zapełnione uzbrojonymi robotnikami.

Fryzjer rzekł:

— R., to jedno wielkie dziadostwo. Powiat też śmierdzący bidą. Tu nie jedną, ale dziesięć fabryk trzeba by zbudować, żeby wszyscy ludzie znaleźli zarobek. Zabili tych inżynierów, ludzie klną, bo może rząd zrezygnuje z fabryki i nowych inżynierów nie przyśle. Jak pan myśli, przyślą nowych?

— Nie wiem. Może przyślą...

— A jak i tych Rokita zabije? Znowu przyślą?

— Może nie przyślą...

— Panie — rozzłościł się fryzjer. — I tak będzie „dookoła Wojtek"? Nie można to raz wreszcie zrobić porządek?

— Pan miesza się do polityki?

— Jaka to polityka? Ja z Warszawy. Zamknę zakład i pojadę. Ale ci ludzie tutaj muszą gdzieś pracować. Pan się dziwi, że pojechali z „giwerami"?

— Nie dziwię się — mruknął Albert. — Ale mi ich szkoda. Szkoda krwi ludzkiej.

— A pan, co? „Jehowiec"?

— Aha — przytaknął Albert.

Wyszedł od fryzjera roześmiany, w doskonałym humorze.

Wymijały Alberta rozkrzyczane dzieciaki, słyszał śmiechy, gwizdy. Ulice były ruchliwsze niż zwykle, hałaśliwsze, a przecież jakby cichsze. Zgiełk ich wydawał się melodyjny, nie raził. „Wiosna" — pomyślał Albert. Nagle — gdy przechodził obok wielkiego gmachu starostwa — wstrząsnęły ulicą cztery strzały. Padły gdzieś obok, jakby tuż nad uchem Alberta. W rzalonym pędzie minął go rozpędzony motocykl z dwoma mężczyznami. Ludzie biegli w kierunku malutkiego, narożnego skweru.

— Strzelała jakaś kobieta.

— Nie. Ten na motocyklu strzelił.

— Zabity???

Mikołaj już konał. Leżał na wznak, w poprzek chodnika, z głową na trawniku skweru. Rozkrzyżował ręce i nogi — jak białe mniszki na porannej mszy w Dąbrowie. Z otwartych ust grubą strugą sączyła się prawie czarna krew. Po twarzy przebiegały mu dreszcze, rozwierał i kurczył palce. Otaczał go rosnący tłum, a on umierał w środku tego koła — samotny, bez ratunku. Przez krótki moment Albert chciał rzucić się do niego, przyklęknąć, odnaleźć ranę.

— Lekarza! — zawołał. Może śmierć jeszcze nie była blisko?

Ktoś poleciał po doktora. Reszta gapiów stała w milczeniu. Albert spojrzał na skupione rozgorączkowane ciekawością twarze. A jeśli któraś z tych twarzy należała do mordercy Mikołaja?

Nikt nie miał prawa wiedzieć, że oto u stóp umierał najbliższy mu człowiek. Mikołaj otworzył oczy, zakrztusił się własną krwią. Obłędnym wzrokiem objął pochylone nad nim głowy ludzi, wlepił oczy w Alberta. Zmacony wzrok począł rozjaśniać się przebłyskiem świadomości. Poznał Alberta, drgnęły mu wargi, ale nie wydał nawet najcichszego szeptu.

— Już skonał... — doszedł Alberta czyiś głos.

Nie żył. Ale mimo to patrzył wciąż na Alberta otwartymi oczami, nieruchomo szklistym spojrzeniem trupa.

Przy chodniku zatrzymał się ciężarowy samochód. Dwaj milicjanci roztrącili tłum. Jeden z nich ujął Mikołaja za przegub ręki i natychmiast puścił ją bezwładną. Podnieśli martwe ciało zataszczyli na platformę samochodu. Albertowi wydało się, że Mikołaj wiedzie za nim wzrokiem. Potem samochód odjechał, pozostawiając jednego milicjanta, który z notesem w ręku wypytywał świadków zabójstwa. W miejscu gdzie zginął Mikołaj krzepło na chodniku kilkanaście dużych kropli krwi. Tłum się nie rozchodził, gapił się na krew.

* * *

Albert pakował walizki. W pośpiechu ugniatał w nich bieliznę czystą i brudną, koszule ubranie. Poganiał go strach, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie zaznał. Doświadczył go dopiero oglądając śmierć Mikołaja. Nadeszły chwile, gdy rozum i wola nie były w stanie podporządkować sobie rozdygotanego strachem ciała. Nie potrafił opanować drżenia warg, powstrzymać ogarniających go na przemian wrażeń przeraźliwego chłodu i upału. Czoło rosił mu na przemian pot zimny i gorący.

Śmierć Mikołaja nastąpiła zbyt nagle, zaskoczyła go, uderzyła zdradziecko jak napad z zasadzki. Niejednokrotnie widział jak ginęli ludzie mu bliscy, jeszcze wczoraj roześmiani i pełni życia. Z ich uśmiechu nie pozostawał nawet cień, a z ich ciała tylko strzęp — ale był to czas wojny, taka śmierć pozostawała zgodna z okropną, lecz już przyjętą konwencją; dookoła rozsypywały się domy, istnienia, nawet przeorana pociskami ziemia obnażała swe rozprute wnętrze. Potem wystarczyło jedno magiczne słowo, które padło gdzieś daleko od nich i w straszliwym teatrum rozpoczynał się nowy spektakl. I jeśli nawet rozgrywał się on wśród prawie tych samych dekoracji — czołgów, ruin, zabitych miast — obowiązywała już nowa konwencja — śmierć znowu stawała się czymś po stokroć tragicznym, bo niepotrzebnym, spóźnionym.

... „Śmierć nie jest straszna. To tylko taka smuga cienia, czytałem gdzieś. Przekraczasz tę smugę i wchodzisz w zupełnie inną krainę. Już cię nie obchodzi, co działo się z tobą przed tym". — tak mówił Mikołaj i przekroczył tę smugę zbyt nagle.

To obce miasteczko było jedną wielką zasadzką. Z brudnych uliczek — ział lęk i zgroza. Nocami biegał tu wściekły wilczur z rozwartym pyskiem z którego ciekła piana.

— Panie Albercie. Czy podać kawę? — usłyszał za drzwiami ciepły głos majorowej.

— Tak, proszę...

Uchylił drzwi i wyciągnął rękę.

Jestem chory — mruknął.

— Nie dziwię się. Całą noc pana nie było.

Zamknął drzwi na klucz. Wypił kawę prawie jednym haustem, parząc sobie wargi i język. Z zapalonym papierosem w ustach sprawdził swój pistolet, wyjął wszystkie kule, obejrzał, włożył z powrotem wprowadzając nabój w lufę. Ciężar pistoletu, gdy ważył go na dłoni — działał uspakajająco.

Nie był już Albertem. Skończyła się maskarada. Dopuścił do świadomości te rejony pamięci, które dotąd uważał za zakazane. Znowu był sobą, we własnej skórze. Zrzucił ubranie obcego człowieka. To co przeżył jeszcze przed chwilą pozostawało jakby snem.

Uciec stąd! Mikołaj niepotrzebnie wplątał się w sprawy, od których na razie należało pozostać daleko. Tam Albert mógł oskarżyć Mikołaja, i cofnąć się przed zadaniem, jakie kazano mu wykonać. Nikt nie powiedziałby mu za to nawet jednego złego słowa. Nikt nie miał prawa żądać, aby po tym, co się stało — on, Albert — szedł jak skazaniec wprost pod szubienicę.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Przekręcił klucz lewą ręką w prawej trzymał odbezpieczony rewolwer.

— Jakiś młody człowiek chce się z panem zobaczyć — powiedziała majorowa.

„Za późno — pomyślał Albert — czyżbym zdecydował się za późno?".

d. c. n.

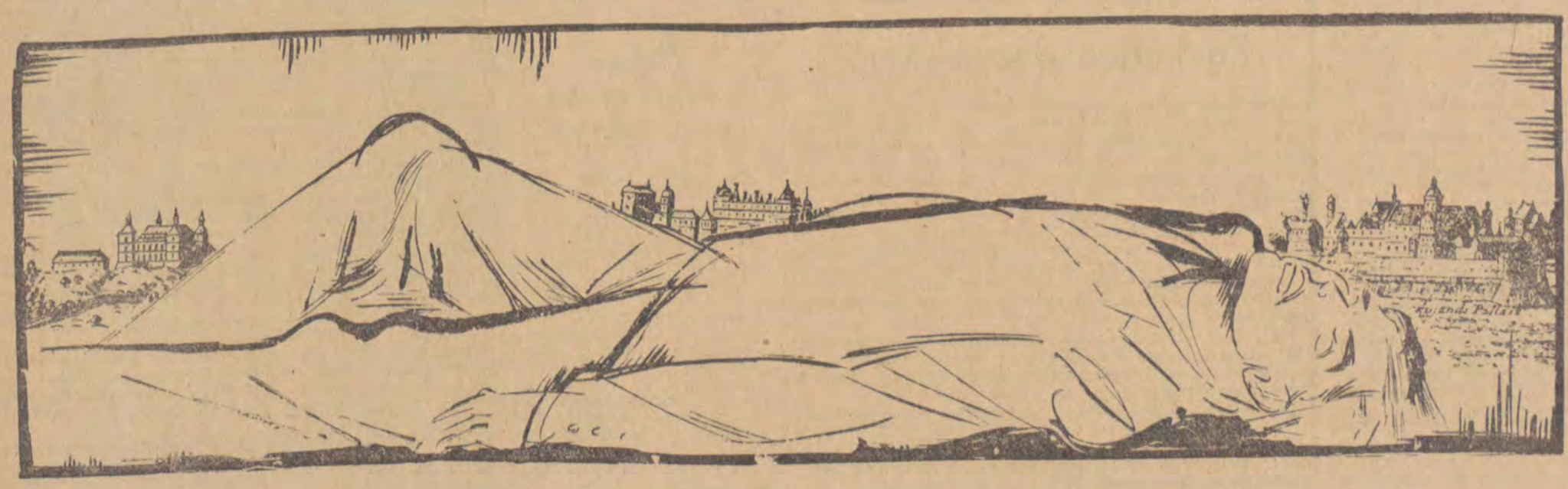

TEMIDA od RENT

O jej rozprawach i wyrokach nie pisze się w gazetach. Nawet jej jubileusze, jak ostatni — piętnastolecia przechodzą w robotniczym mieście niezauważone. Mimo, że rzecz jest bardzo pospolita, robotnicza... Tu bowiem strzeże się jednego z fundamentalnych praw obywateli PRL — prawa do ubezpieczeń.

Prezes Sądu Okręgowego Ubezpieczeń Społecznych rozpoznaje, zgodnie z normą, co najmniej 20 spraw miesięcznie, wiceprezes — 35, każdy z 5 sędziów — 60, jeden asesor p. o. sędziego tyleż. Łatwo spostrzec, że Temida do rent, ważąc kilka tysięcy spraw rocznie, ma pełne ręce roboty.

Do roku 1954 wiodła spokojny żywot. Ludzie nie znali ustaw, ówczesne renty były chude, więc mało komu chciało się prawować. Lawina spraw runęła po podniesieniu wysokości rent i spopularyzowaniu dekretu z 25 czerwca 1954 roku. W ciągu następnych lat na warsztacie Sądu Okręgowego powstała sterta zaległości. Dzisiaj dzięki „domowej" pracy sędziów wszystkie sprawy są w biegu, a od 1 maja przyszłego roku „wpływy" powinny być załatwiane na bieżąco, tzn. w ciągu 5 miesięcy.

Długi to termin czy też krótki? Sprawy, to znaczy skargi obywateli na decyzje Zakładu Ubezpieczeń Społecznych z reguły są zawiłe. W trzech czwartych chodzi o uznanie inwalidztwa. Wymaga to specjalistycznych badań lekarskich. Opinie biegłych bywają chwiejne bądź sprzeczne. Nader często sąd zmuszony jest zarządzać obserwację kliniczną. Na zdecydowanie tego i przeprowadzenie trzeba czasu, nie mówiąc o tym, że sędzia spec od prawa też musi kiedyś uczyć się... medycyny. ZUS-owi, stałemu klientowi tego sądu, również przysługuje czas na przygotowanie obrony własnych racji.

Zważywszy fakt, że w razie wygranej skarżący nie traci, albowiem ferowane wyroki mają moc wsteczną, pięciomiesięczny termin nie jest ani · długi, ani za krótki, lecz w sam raz. Przemawiałaby za tym również trafność wyroków Sądu Okręgowego. Zaledwie około 10 proc. tych wyroków bywa zmienianych albo uchylanych przez Trybunał Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie. Z tym, że podstawą uchylenia bądź zmiany jest przeważnie jakiś nowy dowód, nie przedłożony w toku przewodu przed Sądem Okręgowym.

Połowa wyroków zapada na korzyść skarżących pretendentów do rent. Postępowanie w sądach ubezpieczeniowych jest bezpłatne. Nie ma tu przymusu adwokackiego. Dopiero skarga rewizyjna wymaga wzięcia adwokata. Jednakże i tu skarżący korzystają z przywileju. W 70 procentach przypadków wyznacza im się adwokatów z urzędu.

Temida od rent pracuje w asyście ławników. Dotychczas byli oni mianowani. Obecnie będą wybierani w liczbie 150 dla m. Łodzi i 30 dla województwa łódzkiego w związku z przewidywanymi sesjami wyjazdowymi w Piotrkowie, Kutnie i Wieluniu. Na listach wyborczych ławników znalazło się kilkanaście osób, które pracują w sądownictwie ubezpieczeniowych 15 lat. W ogóle w tym cieszącym się zaufaniem obywateli organie sprawiedliwości panuje niezwykła stabilność kadr. Prezes Henryk Poźniak, organizator sądu łódzkiego w roku 1946, piastuje swój urząd bez przerwy. Sędzia Marian Ulak, kierownik sekretariatu prezydialnego p. Leon Sanigorski i kilku innych urzędników również legitymujących się piętnastoletnią ciągłością pracy. Aż dziw bierze, że ci ludzie satysfakcjonują się samym mirem u współobywateli i poczuciem dobrze pełnionego obowiązku, a nikt nie kuka dla nich bodaj o skromne odznaczenia.

ODGŁOSY tygodnia

Salut dla „trójek"

Ukończony został pierwszy etap prac przygotowawczych do generalnej przeprowadzki ludzi z suteren, poddaszy i komórek, tzn. ich spis. Stan tego mieszkaniowego padołu płaczu podany nam przez Wydział Spraw Lokalowych, przedstawia się w m. Łodzi następujco:

Dzielnica	Sutereny	Poddasze	Powierzchnia przystosowana a niemieszkalna
Śródmieście	422	1.874	—
Polesie	203	269	84
Bałuty	68	1.037	83
Górna	62	638	145
Widzew	124	1.839	185
Razem	879	5.657	497

Na przekwaterowanie rodzin z piwnic potrzeba 2.010 izb, z poddaszy — 9.405 izb, z pomieszczeń przystosowanych a niemieszkalnych — 777 izb. W sumie potrzeby w tym zakresie wynoszą 12.392 izb. Jest to wielkość olbrzymia. Gdybyśmy nie mieli takiego noża na gardle jak konieczność przekwaterowań z domów walących się i wyburzanych dla celów nowego budownictwa i inwestycji — to załatwienie samego problemu suteren, piwnic i komórek wymagałoby dwóch lat. Ponieważ jednak „śmierć techniczna" dziesiątkuje łódzkie domy, a wyburzeń dla wspomnianych celów uniknąć nie sposób (w związku z czym efektywny przyrost w dziedzinie zasobów mieszkaniowych wciąż przypomina napełnianie beczki mocno dziurawej) zakończenia generalnej przeprowadzki z suteren, poddaszy i komórek należy się spodziewać za kilka lat. W ciągu dwóch najbliższych lat wprowadzimy do nowych, jasnych izb mieszkańców najgorszych suteren, poddaszy i „pomieszczeń przystosowanych". Jako że suterena suterenie nierówna, a poddasze poddaszu — w drugim etapie nastąpi wielki przegląd tego, co zewidencjonowano w pierwszym. W wyniku tego przeglądu ustali się kolejność wyprowadzania.

Łatwo powiedzieć „nastąpi", „zewidencjonowano", „ustali się"... za tymi słowami kryje się ogromna, bezimienna praca członków społecznych komisji przy prezydiach DRN i zespołów podległych Miejskiej Komisji Przydziału Mieszkań, tzw. „trójek". Pracują w nich setki aktywistów partyjnych i bezpartyjnych. Wysiłek ludzi, chodzących po fajrancie od sutereny do sutereny, z poddasza na poddasze, wysłuchujących ludzkich gorzkich żalów i gwoli uniknięcia jakiejś niesprawiedliwości sprawdzających każdy szczegół — zasługuje na najwyższy szacunek. Dlatego — salut dla „trójek"!

Ojczyzna płaci — naród się nie myje

Z siedmiu łódzkich zakładów kąpielowych korzysta w ciągu miesiąca około 120 tysięcy osób. Ponadto 90 procent tej liczby to pracownicy fabryk, którym dyrekcje „fundują" mycie za państwowe pieniądze. Dzieje się to w ten sposób, że zakłady, które nie mają łaźni u siebie, biorą w komis bilety i rozprowadzają wśród pracowników, stosując zwykle zasadę „każdemu raz na tydzień kąpiel". Z porównania ilości rozprowadzonych biletów i odbytych kąpieli wynika, że co najmniej 40 proc. biletów pozostaje niewykorzystanych.

Natomiast z „własnej inicjatywy" zgłasza się do kąpieli nie więcej niż 15 tysięcy osób miesięcznie. Przez pierwsze 3 dni tygodnia świecą pustkami, względny tłok zaczyna się dopiero w ostatnich dniach. Nie wiemy zresztą, co by się stało, gdyby łodzianie nagle zapałali ochotą do masowego mycia — nasze zakłady są bardzo niewielkie, cztery spośród siedmiu pochodzą jeszcze z XIX wieku, a nie ma w tej chwili widoków na dalszą rozbudowę „łaziennictwa".

Jesteśmy więc w sytuacji o tyle szczęśliwej, że podaż równoważy popyt. Smutna to jednak pociecha.

Pachnąca dezynfekcja

Pracownikom biur i instytucji nie obca jest zapewne postać szczupłego pana z fryzjerską pompką w dłoni. Po jego wyjściu w pomieszczeniach gdzie znajdują się aparaty telefoniczne rozchodzi się zapach lawendy.

Przyjemnie pachnący środek dezynfekcyjny chroni rozmówców przed zarazkami grypy, gruźlicy itp. Pan Wieczorek, jeden z dwudziestu sześciu pracowników działu dezynfekcji spółdzielni pracy im. Hanki Sawickiej twierdzi, że jego dzienny „urobek" wynosi około 100 telefonów. Daje to jak nietrudno obliczyć prawie trzy tysiące miesięcznie, połączone z nieodzownymi wędrówkami po piętrach łódzkich domów, gdzie niestety na nadmiar wind narzekać nie można.

Cena owej pachnącej dezynfekcji jest dość przystępna. Od jednego aparatu wynosi 6,20 gr miesięcznie, z tym, że spółdzielnia gwarantuje „szprycowanie" telefonu przynajmniej raz w tygodniu.

Oczywiście, najpowszechniej korzystają z usług spółdzielni instytucje. W nich też jest najwięcej pracy. Wyobraźcie sobie, że w samym tylko gmachu przy ul. Piotrkowskiej 96, gdzie mieszczą się łódzkie redakcje dezynfekcja wszystkich telefonów zajmuje ponad dwie i pół godziny czasu.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. A. Kobyliński

Egzystencjaliści

Przebrzmiała już nieco zasada absolutnej wolności zaczęła znajdować od pewnego czasu nowych, gorliwych zwolenników. Tym razem w niektórych przedsiębiorstwach przemysłu włókienniczego.

Przedsiębiorstwa te, zamiast liczyć się z potrzebami rynku, lekceważą zamówienia składane przez centrale handlowe i produkują wedle własnego widzimisię. Przy czym — co jest ważne — produkują tkaniny drogie, zapewniając sobie w ten sposób wykonanie zakładowych planów akumulacji.

Mimo więc, że w I kwartale br. przedstawiciele handlu zamówili tylko 800 tys. metrów drogich tkanin wełnopodobnych przemysł wyprodukował ich aż 2 miliony metrów, nic się nie przejmując tym, że nie zamówione ilości powiększą i tak niemałe remanenty towarów w magazynach.

Tylko łódzkie szczury z zadowoleniem machają ogonkami ostrząc sobie zęby na rosnące sterty włókienniczych bubelków.

Piękne dziewczęta do... fabryk!

Popularnym hasłom „Piękne dziewczęta na ekrany" „...na łamy „Odgłosów", i „na małe ekrany" grozi konkurencja. Przekonać się o tym można było podczas ostatniej rewii odzieży sportowej, zorganizowanej w Łodzi przez producentów.

Sportowe kurtki z nieprzemakalnego ortalionu, kolorowe spodnie z elasticu prezentowały z wdziękiem zgrabne i ładne modelki — jak się okazało — pracownice Łódzkich Zakładów Odzieży Sportowej.

Jak widać i przemysł ma swojego... Kobylińskiego.

Szkło

Bez statutu i koncesyjnych uprawnień działa od kilku tygodni na stadionie ŁKS spółdzielnia młodych zbieraczy. Jej prezes liczy zaledwie czternaście lat. Pozostali członkowie jeszcze mniej. Spółdzielnia rozpoczyna swe urzędowanie dopiero po meczu. Penetruje wówczas wszystkie zakątki boiska, szukając wypróżnionych butelek. Jest ich zazwyczaj masa. A na zasadzie etykiet i pojemności — dość łatwo można określić upodobania kibiców i ilość wypitego przez nich trunku.

Braliśmy udział w segregowaniu przez spółdzielnię ostatniego łupu. Wykaz wyglądał następująco: ćwiartek — 296, półlitrówek — 87 oraz 153 butelki po winie. Zbieracze oświadczyli, że do unikatów należała w ich trofeach litrówka, jak również rzadko się zdarza, by kibice gasili entuzjazm winem gronowym. Ulubiony przysmak, to owocówki". Butelki po szampanie trafiają się jedynie po zwycięstwach łódzkiej jedenastki.

Wydział i szyby

Obecnej jesieni notujemy przewrót w szklarstwie, a wyrażając się dokładniej — w usługach szklarskich dla ludności. Są w Łodzi trzy spółdzielnie, które zajmują się szkleniem okien — „Pokój", „Czystość" i Spółdzielnia im. J. Krasickiego. Ta ostatnia jest prawdziwym potentatem, ma 11 stałych warsztatów szklarskich i dwa ruchome. Każdy warsztat ruchomy — wnioskując z obrotów — spełnia rolę 5 warsztatów stałych.

Jeżeli klient przynosi okno do zakładu, szybę wstawia się od ręki. Na wizytę szklarza w domu obecnie czeka się najwyżej trzy dni. Pamiętamy, że jeszcze nie tak dawno można było czekać nawet trzy tygodnie i nie doczekać się wcale.

Tak radykalną poprawę sytuacji zawdzięczamy staraniom władz miejskich i zrozumieniu przez spółdzielnie swojej roli usługowej. Usługi dla ludności są znacznie mniej rentowne niż usługi przemysłowe, jednak na wrzesień i październik „odstawiono" wszelkie zamówienia przemysłu i instytucji.

Zdarzyło się na przykład podczas naszej wizyty w Spółdzielni im. J. Krasickiego, że prezes Banasiak odebrał telefon z Wydziału Budżetowo-Gospodarczego RN m. Łodzi. Wydział prosił o szybkie wstawienie szyb. „Niestety — odpowiedział prezes — najpierw usługi dla ludności". W ten sposób Rada Narodowa niewątpliwie będzie mogła docenić wagę swoich zaleceń. Otrzymaliśmy potem od prezesa wyjaśnienie, że w okresie letnim, kiedy było znacznie mniej roboty, wielokrotnie zwracano się do instytucji o składanie zamówień. Niestety, nie wszystkie posłuchały i w tej chwili przeszło 150 biur i fabryk czeka w kolejce.

Warto wspomnieć, że i pod względem szklarskim postępujemy zgodnie z naszą narodową dewizą, zostawiając wszystko na ostatnią chwilę. W czerwcu spółdzielnia im. Krasickiego wstawiła szyb za sumę 20 tys. zł, a w październiku — za 220 tys.

Czy nie lepiej wstawiać szyby natychmiast po wytłuczeniu niż wtedy, kiedy robi się zimno? Zdajemy sobie, niestety, sprawę, że takie rady stanowią przysłowiowe rzucanie grochem o... szybę.